



Liz Fielding



Serce szejka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lucy Forrester nie dała się zwieść obrazom, jakie niespodziewanie pojawiły się przed jej oczami. Mająca na horyzoncie zieleń była jedynie mirażem.

O pustyni Ramal Hamrah wiedziała wiele, przeczytała wszystko, co tylko znalazła na jej temat. Zwodnicze miraże nie były wytworem wyobraźni zżękanego pragnieniem wędrowcy; te pozorne obrazy będące odbiciem odległych przedmiotów powstawały wskutek zakrzywienia promieni słonecznych, a gdy kąt padania się zmieniał, znikwały tak samo nieoczekiwanie, jak się pojawiały.

Migotliwa zielona plama, tak miła dla oczu, trwała zaledwie mgnienie i rozwiała się bez śladu, jednak osłabiła żarliwe pragnienie Lucy, by dopaść drania, który ją oszukał, stanąć z nim twarzą w twarz. Wprawdzie na pustyni nie było ruchu - w ogóle nie było dróg - ale to nie znaczyło, że nic jej tu nie groziło.

Zerknęła na GPS, skorygowała kierunek jazdy i zmusiła się, by nieco rozluźnić zaciśnięte na kierownicy palce.

Pustynia ciągnęła się we wszystkich kierunkach. Im dalej od wybrzeża i wyżej, tym powietrze było bardziej przejrzyste. Góry stawały się wyraźniejsze, odcinały się na tle nieba. Nigdzie ani odrobiny zieleni, w wyschniętym, martwym krajobrazie przetrwały jedynie skarłale zarośla.

Pałące słońce oślepiało, piekły podrażnione oczy. Zwykłe okulary przeciwsłoneczne nie chroniły przed ostrym blaskiem. Miała wrażenie, jakby ktoś sypnął jej piaskiem po oczach. Szkoda, że ten miraż już zniknął. Choć na chwilę odczuła ulgę, patrząc na zieleń.

Była spragniona i głodna. Gniew to za mało, by zapomnieć o potrzebach ciała. Ale woda już dawno jej się skończyła. W dodatku od jazdy po nierównym terenie wszystko ją bolało.

Zafrasowana popatrzyła na mapę. Coś jest nie tak. Według mapy do obozowiska Steve'a było nie więcej niż dwieście kilometrów. Trzy godziny jazdy, góra cztery. Już dawno powinna być na miejscu.

Na mgnienie przymknęła piekące oczy. To był błąd. Terenówka nagle szarpnęła ostro w dół i Lucy poczuła zaciskający się pas, a kierownica wypadła jej z rąk. Nim zdążyła cokolwiek zrobić, przednie koło wpadło na coś twardego, auto podskoczyło i zachwiało się. Przez chwilę, która zdawała się nie mieć końca, wydawało się, że samochód opadnie na cztery koła, lecz wtedy tylne koło zahaczyło o skałę i nagle cały świat przewrócił się do góry nogami.

Pas boleśnie wrzynał się w jej ciało, ale przytrzymał ją w fotelu, gdy samochód zaczął koziółkować.

Minęła wieczność, nim świat wreszcie przestał się obracać i wszystko znieruchomiło.

Kiedy otworzyła oczy, wszystko wokół niej było pod dziwnym kątem, lecz cisza i panujący tu całkowity bezruch dawały jej cudowne ukojenie. Pas przytrzymał ją w fotelu i marzyła tylko o tym, by tak trwać. Nie ruszała się.

Przynajmniej znowu widzi tę zielen. I to jakby bliżej. Wyteżyła wzrok, wpatrując się w obraz za popękana szybą.

To chyba drzewa, stwierdziła w końcu. Dziwne tylko, że rosną do góry nogami. Zamiast wyrastać nad ten wysoki mur, są pod nim.

Czyżby natrafiła na wiszące ogrody Babilonu?

Nie, na pewno nie. Babilon nie był w tym rejonie, ale... Gdzieś indziej.

Może umarłam, pomyślała beznamiętnie.

W niebie jest zielono. I cicho. Wprawdzie ta brama w murze nie wygląda jak bramy rajy z płomiennych kazań, jakimi zachwycała się babcia, jednak jest wyrzeźbiona w drewnie.

A na pustyni drewno jest na wagę złota.

Mur i brama miały kolor zgaszonej ochry. Pustynny kurz przez wieki nanoszony wiatrem tak stopił je z krajobrazem, że były niemal niewidoczne;

trzeba było dobrze wyteńczyć wzrok, by je spostrzec. Słońce zaczynało zachodzić i długie cienie wydobywały rzeźbione powierzchnie.

Anioł, który spływał do niej na złotych skrzydłach, wydawał się całkiem prawdziwy.

Dopiero teraz do jej świadomości zaczęły przedzierać się dźwięki. Pykanie stygnącego silnika, łopot wirujących w powietrzu papierów. Mój pamiętnik, uzmysłowiła sobie, patrząc na bezładnie rozsypaną zawartość torebki. Wiatr porywał kartki, unosił z nimi jej życie. Lucy zamknęła oczy.

Po jakimś czasie, kilku chwilach, a może kilku godzinach, podniosła powieki, bo doszedł ją jakiś inny dźwięk. Wydawał się znajomy, lecz nie potrafiła go określić. Jakby coś powoli kapało.

Płyn chłodniczy albo płyn hamulcowy, pomyślała.

Musi coś z tym zrobić. Odszukać miejsce przecieku i zatkać je, bo inaczej będzie z nią krucho...

Powoli otrząsała się z zamroczenia. Wyciągnęła rękę i poruszając nią niepewnie, próbowała odpiąć pas, lecz w tej samej chwili znieruchomiała, bo na głowie poczuła przeraźliwy, trudny do określenia ból. Zebrała siły. Musi uwolnić się od pasa, nie wydzierając sobie włosów.

I wtedy poczuła zapach benzyny.

Benzyna kapie na rozgrzany metal...

Z przerażającą jasnością uświadomiła sobie grożące jej niebezpieczeństwo. To, co widzi tak blisko, to nie bramy raju, a bramy piekła. Strach okazał się silniejszy od bólu. Szarpnęła się w bok, by sięgnąć do uchwytu pasa.

Spocone palce ześlizgnęły się mimowolnie, zapach benzyny stał się jeszcze mocniejszy. Przerażona, bezładnie próbowała wyplątać się z pasów...

- Nie ruszaj się, zaraz cię wyciągnę.

Słyszała słowa, lecz ich sens nie docierał do niej. Rozpaczliwie starała się znaleźć drogę ucieczki.

- Nie ruszaj się!

Struchlała z przerażenia. Nie z powodu tego tonu czy ostrych, budzących lęk rysów pochylającego się ku niej mężczyzny. Lśniące ostrze noża było tuż przy jej twarzy, niemal czuła na karku dotyk zimnego metalu.

Hanif al-Khatib zaklął, patrząc na zemdloną kobietę. Przeciął nożem przytrzymujący ją pas i zaczął wyciągać ją z wnętrza samochodu. Nie było czasu do stracenia, bo w rozgrzanym powietrzu zapach benzyny stawał się coraz intensywniejszy. Nie miał wyboru, musiał działać szybko i sprawnie, raczej mało delikatnie. Miał tylko nadzieję, że wyciągając nieprzytomną kobietę przez okno i sadzając ją w siodle, nie czyni jej dodatkowej krzywdy. Przytrzymując ramieniem jej bezwładne ciało, spiął konia i pomknął w dal.

Kiedy samochód zamienił się w słup ognia, byli na tyle blisko, że poczuł żar wzbijających się w górę płomieni, żar, przy którym panujący tu upał natychmiast zmienił się w chłód.

Czuła ból, lecz rzeczywistość do niej nie docierała. Słyszała głosy, ale nie rozumiała sensu słów. Dotyk materiału, w który wtulała twarz, przynosił ukojenie. Tak jak miarowe bicie czyjegoś serca i uspokajające słowa wypowiedane łagodnym głosem. Ktoś przytrzymał ją mocno, nie pozwalał jej upaść. Resztą jaźni czuła, że póki ten ktoś będzie ją trzymać, póty nic złego się jej nie stanie.

Jedynie wyjątkowy powód mógł skłonić Hanifa do przestąpienia progu szpitala. Nie znosił takich miejsc. Wszystko go odstręczało: zapach, stłumione głosy personelu, urządzenia najnowszej generacji pikaniem odmierzające trwałość ludzkiego życia.

Zahir, jego prawa ręka, starał się powstrzymać go przed przybyciem do szpitala, namawiał do pozostania na pustyni, przekonywał, że sam świetnie sobie ze wszystkim poradzi.

Nie wątpił w to. Wiedział, że na Zahirze może polegać, jednak chciał na własne oczy upewnić się, że zrobiono co trzeba. Miał dziwne przecucie, że to

nie był zwykły wypadek, że kryje się za tym coś więcej. Samotna cudzoziemka na środku pustyni pędząca z taką determinacją... Coś tu było nie tak.

Na razie nikt go nie rozpoznał. Jego twarz, po dniu polowania pokryta pustynnym pyłem, nadal osłaniała kefija. Trzymał się z boku, nie chcąc wzbudzać niepotrzebnych domysłów. Zwłaszcza że ranną przywiózł helikopter emira, co zelektryzowało szpitalny personel. Kontakt z lekarzami pozostawił Zahirowi. Sam zamierzał jak najszybciej się ulotnić. Cenił swoją prywatność, domyślał się, że uratowana kobieta również wolałaby uniknąć rozgłosu. Upewnił się, że już nic jej nie grozi i ma zapewnioną opiekę, i wraca do siebie.

Odwrócił się, słysząc wchodzącego do poczekalni Zahira.

- Co z nią?

- Miała szczęście. Zrobili jej tomografię i okazało się, że rany głowy są powierzchowne. W najgorszym razie doznała lekkiego wstrząśnienia mózgu.

- Tak? - Spodziewał się, że jest z nią znacznie gorzej. - W samolocie co chwilę traciła przytomność, cierpiała.

- Ma zerwane więzadło w kostce, to bardzo bolesny uraz. Poza tym nieźle się poobijała, gdy samochód dachował.

- A mówiłeś, że miała szczęście - ironizował Hanif.

- Dla ciebie, ekscelencjo, mogło się skończyć dużo gorzej.

- Byłem najbliżej. Pierwszy do niej dojechałem.

- Nikt by nie ryzykował zjazdu w dół zbocza.

Pewnie chciał dodać, że nikt tak nonszalancko nie odnosił się do swojego życia jak Hanif, jednak zamilczał.

- Ta kobieta jest ci winna życie. Hanif zbył go machnięciem ręki.

- Zatrzymają ją w szpitalu?

- To nie jest konieczne - odparł Zahir. - Musi tylko w spokoju odpocząć parę dni. - Umilkł, a po chwili dodał: - Dałem znać pilotowi, że jesteśmy gotowi do startu.

Mógł z czystym sumieniem wracać do domu, jednak coś go powstrzymywało. Wciąż pamiętał, jak krucha była ta niewiasta.

- Przepytałeś ludzi w tej agencji Bouheira Tours? - zapytał, odsuwając od siebie wspomnienia. - Skontaktowali się z jej rodziną? Ktoś się nią zajmie, zabierze do domu?

Zahir chrząknął.

- Ekscelencjo, to już nie twoje zmartwienie. Han, musimy się stąd zbierać, w szpitalu już krążą plotki.

Nie musiał pytać o szczegóły. Cudzoziemka przywieziona helikopterem emira... to wystarczy, by pobudzić ludzką wyobraźnię.

- Ucisz je. Ranną znaleźli myśliwi, zatroszczyli się o nią. O mnie ani słowa.

- Postaram się.

- No więc? Kim ona jest? Pracuje dla tej agencji? Może przyjechała na wyprawę po wydmach, surfować po piasku? Kolejna miłośniczka sportów?

Miał nadzieję, że tak właśnie było. Wtedy bez mrugnięcia okiem da sobie z nią spokój.

- Ekscelencjo, turystyka staje się coraz bardziej istotną gałęzią naszej gospodarki...

- Jeśli przyjechała na wycieczkę, to czemu znalazła się na pustyni sama, kierując się donikąd? - nie zrażał się Hanif.

Jego kuzyn zawahał się na mgnienie. Był zbyt młody i zbyt niedoświadczony, by to ukryć.

Hanif podszedł do krzesła, usiadł. Każdy jego ruch dobitnie świadczył, że był człowiekiem władzy. Nawet kuzyn czuł przed nim głęboki respekt.

- No więc - zaczął Zahir. Przełknął ślinę. Wiedział, że nie ma innego wyjścia, jak wyznać prawdę. - W Bouheira Tours nic o niej nie wiedzą. Nie pracowała u nich ani nie była ich klientką. W zgłoszeniach na ten tydzień nie mieli ani jednej kobiety.

- Podróżowała ich terenówką - rzekł Hanif. - Z boku było ich logo. Pustynne safari, surfing po wydmach - przypomniał. - Z kim rozmawiałeś?

- Z pracownicą. Nazywa się Sanderson. Właściciel, Steve Mason, jest teraz na wschodzie kraju z grupą archeologów zainteresowanych starożytnymi systemami nawadniania.

- Jeśli jechała do nich, to kierowała się za bardzo na północ.

- Może się zgubiła.

- Przecież ich terenówki mają GPS - zareplikował. - Jak pani Sanderson wyjaśniła, że ta kobieta jechała ich samochodem?

- Twierdzi, że musiała zejść jakaś pomyłka, bo wszystkie ich auta są na miejscu. Przypomniała, że są inne agencje oferujące wycieczki na pustynię. Sugerowała, że skoro samochód spłonął, mogliśmy coś źle zobaczyć.

- Zahir, byłeś tam ze mną. Uważasz, że się pomyliliśmy?

- Nie, ekscelencjo.

- No właśnie. Mówisz, że ktoś powinien się nią zająć, więc jak mam to rozumieć? Chcesz powiedzieć, że skontaktują się z kimś z jej ambasady, każą podpisać zobowiązanie, że zwróci koszty leczenia, i dopiero wtedy coś zrobią?

- Myślałem, że koszty weźmiesz na siebie...

- Oczywiście, przy założeniu, że ona zdoła udowodnić swoją tożsamość - ciągnął Hanif, jakby nie słyszał słów Zahira. - Tożsamość i narodowość. To może trochę potrwać, bo wszystko, co miała, spłonęło. Kto przez ten czas się o nią zatroszczy?

- Uratowałeś jej życie. Zrobiłeś, co do ciebie należało.

- Skoro ocaliłem jej życie, to jestem za nią odpowiedzialny. - Wolałby, by tak nie było, jednak przecież nie może życzyć jej śmierci. - Kim ona jest? - zniecierpliwił się. Chciałby już zamknąć tę sprawę. - Jak się nazywa?

- Lucy Forrester. Tak podała.

- Powiedziała, dokąd jechała?

- Nie. Wydawała się tak skołowana, że postanowiono zrobić jej tomografię.

- I lekarz orzekł, że można ją wypisać? - Poderwał się z miejsca i nim Zahir zdążył otworzyć usta, był przy drzwiach. - Zostań. Sam z nim porozmawiam.

- Ekscelencjo!

Hanif, nie zważając na jego błagania, ruszył przed siebie.

- Ekscelencjo, moim obowiązkiem jest...

Zamarł, bo Hanif odwrócił się do niego. Jednak nie skapitulował.

- Han, zrobiłeś wszystko, co do ciebie należało. Ona jest Brytyjką. Jej ambasada zatroszczy się o nią.

- Sam ocenię, czy zrobiłem wszystko. - Zniecierpliwił się. - Gdzie jest ten lekarz?

- Wezwano go do nagłego przypadku. Zaraz dam mu znać.

- Nie. - Nie lekarz go tu trzymał, lecz ta pacjentka. - Gdzie ona jest?

Znowu zapadła cisza. Wreszcie Zahir się złamał.

- W gabinecie zabiegowym. Ostatnie drzwi na lewo.

Lucy Forrester wyglądała znacznie gorzej, niż pamiętał. Wciąż miał przed oczami jej obraz: długie jasne włosy rozrzucone na ramionach, mleczna cera, wielkie szare oczy. Teraz sińce nabrzmiały, obtarcia i skaleczenia na ramionach tylko częściowo były zaklejone plastrami, wszędzie, nawet we włosach, ciemniała zaschnięta krew.

Leżała nieruchomo, czekając, co z nią dalej będzie. Wyglądała na wyczerpaną.

Doskonale pamiętał, że nim straciła świadomość, w jej oczach widział śmiertelne przerażenie. Teraz, gdy powoli zaczynała wracać do rzeczywistości, nadal się bała. Bez zastanowienia wyciągnął rękę. Ujął jej dłoń.

- Już wszystko dobrze, Lucy. Jesteś bezpieczna.

W jej oczach pojawiła się niepewność, a zaraz potem coś jeszcze. Coś, co sam doskonale rozumiał.

- Uratowałeś mnie - wymamrotała niewyraźnie. Miała poranione, spuchnięte usta.

- Połóż się. Spokojnie.

- Myślałam... myślałam, że...

Doskonale wiedział, co wtedy sobie myślała. I trudno się jej dziwić. Wpadła w panikę, a on nie miał czasu na wyjaśnienia, musiał działać błyskawicznie.

Puścił jej rękę i lekko skinął głową. Gest zarezerwowany jedynie dla matki i babci.

- Jestem Hanif al-Khatib. Masz w Ramal Hamrah jakichś znajomych? - zapytał. - Kogoś, kogo mam powiadomić?

- Ja... - zawahała się, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią. - Nie. Nikogo - dokończyła. Nie uwierzył jej. W każdym razie to na pewno nie była cała prawda.

- Jeśli tak, to mój dom jest do twojej dyspozycji, póki nie nabierzesz sił do dalszej podróży.

Jedno oko miała tak spuchnięte, że nie mogła go otworzyć.

- Ale dlaczego...? - W jej głosie brzmiała niepewność.

- Wędrowiec w potrzebie może w mym kraju liczyć na pomoc i schronienie - odparł, ucinając jej obiekcje. Sam do końca nie wiedział, czemu aż tak się angażuje, choć przecież nie po to ją ratował, by teraz zostawić ją zdaną na łaskę jej ambasady. U niego przynajmniej będzie jej dobrze. I będzie bezpieczna.

Odwrócił się do Zahira.

- Czyli sprawa postanowiona. Zajmij się tym.

- Ale ekscelencjo...

Hanif uciszył go spojrzeniem.

- Znajdź dla pani Forrester ciepłe okrycie na podróż. I przyślij pielęgniarkę, by ją umyła. Jak mogli pozostawić ją w takim stanie?

- To może potrwać - odparł Zahir. Był przeciwny decyzji Hanifa, to się czuło. Nawet nie musiał nic mówić. - Mają nagły przypadek, wszyscy zostali wezwani.

Lucy obserwowała, jak jej samarytanin niecierpliwym gestem odsyła Zahira. Podeszedł do szafki, nalał wody do stalowej miseczki, potem namoczył w niej kawałki waty.

- Nie jestem pielęgniarzem - zagaił, podchodząc do niej - ale postaram się, byś poczuła się lepiej.

- Nie. - Cofnęła się. - Naprawdę nie trzeba.

- Trzeba. Zejdzie trochę czasu, nim Zahir załatwi formalności. - Nie uśmiechał się, lecz w sposobie, w jaki ujął jej drżącą dłoń, była prawdziwa troska. - Boli?

- Nie - wydukała.

Skinął głową i zaczął delikatnie przecierać wacikami *jej* palce, ostrożnie zmywając z nich krew. Obchodził się z nią jak z czymś bardzo kruchym.

Nie powinna tak się wzdragać, w końcu to tylko ręce. Nie miałyby żadnych oporów, gdyby mył ją pielęgniarz. A ten mężczyzna uratował jej życie. Jednak działo się z nią coś dziwnego. Jęknęła cichutko.

Popatrzył na nią czujnie.

- To nic - wydusiła.

Uspokojony, zaczął obmywać z kurzu i krwi jej dłonie, potem nadgarstki i przedramiona. Nabrał nowej wody.

- Teraz twarz - wyjaśnił.

Przełknęła ślinę. Ręce i ramiona to jedno. Twarz to co innego. Będzie musiał się do niej zbliżyć jeszcze bardziej...

- Za gorąca? - zapytał, bo podskoczyła i jęknęła.

- Nie... - wydusiła przez zaciśnięte gardło. - Nie, to tylko... - Nauki babci zapadły jej głęboko w pamięć. Tylko nieprzyzwoite dziewczyny pozwalają, by mężczyźni ich dotykali. Wiedziała, że jest inaczej, jeśli ludzie się kochają, jednak nawet ze Steve'em nie umiała zdobyć się na bliskość.

Zapewniał, że jej niewinność go oczarowała. Że poczuł się wyróżniony, wyjątkowy.

Niewinność jako cnota i najwyższa wartość. Tylko naiwna gąska może uwierzyć w to bezkrytycznie.

Wiedziała, że ta sytuacja teraz nie ma żadnego odniesienia do surowych zakazów babci, jednak wcale nie było jej łatwiej.

- Wszystko w porządku - wykrztusiła, walcząc z emocjami, mrugając, by powstrzymać łzy. - Naprawdę.

- W razie gdyby bolało, mów - rzekł, delikatnie odgarniając jej włosy z twarzy.

Chciałaby, żeby jak najszybciej skończył, lecz on się nie śpieszył. Delikatnie przesuwając wacikami po jej wysuszonej, rozpalonej skórze. Chłonęła wodę jak gąbka.

- Masz krew we włosach. Wyrwałaś ich sporo, próbując wypiąć się z pasa. Postaram się ją zmyć. Gdyby bolało, mów.

Zacisnęła usta. Musi wytrzymać. Jęknęła mimowolnie, gdy odgarnął jej włosy z karku. Gdyby tak mogła je umyć, od razu poczułaby się lepiej.

- Później - odezwał się Hanif. - Jutro umyję ci włosy. Uśmiechnęła się. Czyta w jej myślach? Jeśli tak, to nie musi go pytać...

Ktoś zapukał do drzwi, zawołał coś.

Hanif ostrym tonem rzucił jedno słowo. Po arabsku, lecz nie miała wątpliwości, że kazał komuś poczekać. Ostrożnie ułożył jej głowę na poduszce.

- *Sukran* - wyszeptała. Dziękuję.

Poznała trochę arabskich słów. Zależało jej, by nauczyć się podstaw arabskiego, nim dołączy do Steve'a. Nie chciała być tylko formalną

wspólniczką, chciała się przydać. No i okazała się bardzo przydatna, ufnie podpisując podsunięte jej papiery.

Hanif al-Khatib uśmiechnął się do niej. Chyba po raz pierwszy, pomyślała. Ten człowiek jest taki serio...

- *Afwan*, Lucy - rzekł.

Witaj. Powiedział to szczerze, czuła to.

Jeszcze nikt nie okazał jej tyle serca, co ten nieznajomy. I nagle niemal nie mogła zapanować nad łzami.

To z powodu szoku. Wyczerpania. Opóźniona reakcja na to, co się jej stało...

Pociągnęła nosem, przełknęła ślinę. Nigdy nie płacze, dawno się przekonała, że łzy niczego nie zmieniają, nie pomogą na ból czy zdradę. Jednak okazana jej dobroć zburzyła ochronną barierę.

- Lucy, tak cię boli?

- Nie.

- Nie powinnaś cierpieć.

- Wiem. Dostałam zastrzyk. Po prostu czuję się śpiąca.

- Więc śpij. Łatwiej zniesiesz podróż. Zaraz wracam.

Skinęła głową, powoli zapadając w sen. Przebudziła się raptownie, gdy Hanif znów się pojawił.

- Nie masz nic przeciwko, żeby to założyć? - zapytał, podnosząc ją i otulając w coś mięciutkiego i ciepłego.

Nie mam nic przeciwko niczemu, co robisz, pomyślała, lecz nie miała siły, by to powiedzieć.

- Jak ona się czuje?

Zahir, który został w Rumailah, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat Lucy, teraz wszedł do przedpokoju przy gościnnym apartamencie.

- Pani Forrester nadal śpi.

- To bardzo dobrze.

- Możliwe. - Spała niespokojnie, często krzycząc i płacząc przez sen. Podejrzewał, że usnęła tylko dzięki silnym środkom zleconym przez lekarza. - Czego się dowiedziałeś? Byłeś w ambasadzie?

- Chciałem najpierw dowiedzieć się czegoś na własną rękę. Według mnie w tej sprawie nie wszystko jest jasne.

- I dlatego tak usilnie zniechęcałeś mnie do przywiezienia jej tutaj - skwitował Hanif.

- Moim zadaniem...

- Twoim zadaniem jest wyrwanie mnie z przygnębienia, wyciąganie na polowania i takie rzeczy. I powiadomienie mojego ojca, kiedy mogę wrócić do publicznego życia.

- Ojciec martwi się o ciebie.

- Dlatego zgodziłem się, byś przy mnie został. No dobrze, wracajmy do Lucy Forrester.

- Przyleciała wczoraj rano z Londynu. Pogranicznik ją zapamiętał. Jej włosy wielu osobom rzuciły się w oczy.

Nie wątpił. Jasne jak pszenica, długie do talii. Każdy mężczyzna by je zauważył.

- No dobrze, mów.

- W formularzu podała swój adres w Anglii. Odnalazłem numer telefonu i zadzwoniłem. Nikt nie odebrał. - Odczekał chwilę, ale Hanif nie skomentował. - Podała, że zatrzyma się w Gedimah Hotel. Miała rezerwację, lecz się tam nie pojawiła.

- Ktoś ją odebrał czy wzięła taksówkę?

- Ochrona lotniska to sprawdza.

- A co z tą terenówką? Widziałeś ją? Zostało z niej coś?

- Nie, panie. Wysłałem samochód na miejsce wypadku, ale po terenówce nie zostało śladu.

- Przecież nie mogła rozpląnąć się w powietrzu. - Hanif spochmurniał.

- O wypadku wiedziała tylko ta kobieta z agencji. Co jej powiedziałaś?
- Tylko tyle, że jeden z ich samochodów miał wypadek na pustyni i spłonął. Bardzo się przejęła, wypytywała, jak wyglądał samochód i gdzie to się stało. Stwierdziła, że to nie był ich džip. Powiedziała, że pani Forrester nie pracowała w agencji ani nie wynajęła od nich samochodu.
- Nie chciała sprawdzić w zamówieniach?
- Nie. Zaklinała się, że jest absolutnie pewna.
- Powiedziałeś jej, że pani Forrester została ranna?
- Nie pytała, a ja nie śpieszyłem się z informacjami.
- I tak to zostawmy. Spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej na temat tej agencji i ludzi, którzy ją prowadzą. I bądź bardzo dyskretny, Zahir.

ROZDZIAŁ DRUGI

W pokoju było chłodno i cicho, łagodne światło wpadające do wnętrza mieniło się szmaragdową zielenią, lazurem i akcentami czerwieni. Lucy miała wrażenie, że znajduje się w podwodnej jaskini.

To na pewno sen.

Znów odplynęła w niebyt. Kiedy się przebudziła, w pokoju było jaśniej, choć wcześniejsze kolory nie zniknęły. Z trudem uchyliła spuchnięte powieki, starając się dociec źródeł tego światła. Na białej pościeli lśniły barwne refleksy. To promienie słoneczne przesączały się przez witrażowe okno.

Było to jednocześnie piękne i obce. Spróbowała unieść głowę, by zobaczyć coś więcej.

Nic jej nie grozi? Co się stało? Gdzie ona jest? Poruszyła się, by spojrzeć na pochylającego się nad nią człowieka. Usztywniający kołnierz ograniczał jej ruchy, przez zapuchnięte powieki ledwie co widziała. Ale wiedziała, kim jest ten mężczyzna.

To on pochylał się nad nią z nożem w dłoni, każąc się jej nie ruszać. Przelknęła ślinę. Miała spieczone usta, suchość w gardle.

- Pamiętasz wypadek? - zapytał.

- Pamiętam ciebie - odpowiedziała. Wcześniej jego twarz była osłonięta kefiją, lecz od razu go rozpoznała. Ciemne, przenikliwe oczy, wyraziste rysy, jastrzębi nos...

Długie, gęste włosy miał związane z tyłu ciemnym rzemykiem. Głos nieznanego brzmiał miękko, lecz instynktownie czuła, że ta łagodność to tylko pozory.

- Jesteś Hanif al-Khatib. Uratowałeś mi życie i zabrałeś ze szpitala.

- Pamiętasz. To dobrze.

Nie do końca dobrze, pomyślała. W tej chwili wolałaby nic o tym nie wiedzieć.

- Czujesz się lepiej?

- Nie chcę się nad tym zastanawiać. Gdzie ja jestem? Mówiła z trudem. Hanif podtrzymał Lucy ramieniem i przytknął szklanekę z wodą do jej spuchniętych ust. - Gdzie ja jestem? Kim ty jesteś? - Znała jego imię, lecz nic jej to nie mówiło.

- Kiedy mieszkałem w Anglii, znajomi nazywali mnie Han.

Z trudem zbierała myśli. Nie powiedział jej tego ot, tak sobie. Miał w tym swój cel. Chyba chciał dać jej do zrozumienia, że kultura Zachodu nie jest mu obca, że zna normy obowiązujące w jej świecie. Ale dlaczego to zrobił? Czyżby miała powody do obaw?

- A jak zwą cię twoi wrogowie? - Za późno ugryzła się w język. Nie powinna zadawać takich pytań. Ten człowiek ją ocalił, tylko dzięki niemu uniknęła strasznej śmierci.

- Jestem Hanif bin Dżamal bin Khatib al-Khatib - odparł z kamienną twarzą. - Moi wrogowie, jeśli są rozsądni, pamiętają o tym.

W gardle zrobiło się jej jeszcze bardziej sucho. Pokręciła głową, jakby dystansując się od swego pytania. Jęknęła mimowolnie.

- Lekarz dał środki przeciwbólowe, jeśli będzie taka potrzeba - spokojnie rzekł Hanif.

- Nie, dziękuję. - Wiedziała, że musi zachować trzeźwość umysłu, co przychodziło jej z trudem. Jest parę rzeczy, które musi wyjaśnić. Steve mówił jej kiedyś, że z tych długich imion można się wiele dowiedzieć. - „Bin” to znaczy syn?

Hanif skinął głową.

- Czyli Hanif, syn Dżamala, syna...

- Khatiba.

- Syn Khatiba, z rodu Khatibów. - Już chyba gdzieś to słyszała. Może od Steve'a? - To jest twój dom?

- Miło mi cię gościć, Lucy. Tu będzie ci wygodniej niż w szpitalu. Chyba że masz tu znajomych, u których chcesz się zatrzymać? Powiadomić kogoś? Próbowaliśmy dodzwonić się do twojego domu w Anglii, ale nikogo nie zastaliśmy. Jeśli chcesz zadzwonić, to bardzo proszę. - Wskazał na telefon.

- Nie. - Zabrzmiało to zbyt ostro, więc szybko się poprawiła: - Tam nikogo nie ma. Mieszkam sama. Przepraszam, że sprawiłam tyle kłopotu - dodała, zerkając na swoje poranione ramiona. Wzdrygnęła się.

- Szybko się wygoją - pocieszył. - Za tydzień czy dwa nie będzie śladu po obtarciach i skaleczeniach. Jesteś głodna?

- Nie chcę już więcej cię fatygować. Zaraz się ubiorę. Gdybyś tylko był tak miły i wezwał mi taksówkę.

- Taksówkę? - Spochmurniał. - Po co?

- Jadę na lotnisko.

- Powinnaś najpierw dojść do siebie. Odpocząć dzień czy dwa. Poza tym minie nieco czasu, nim zdążą odtworzyć twoje dokumenty. Paszport, bilet na samolot... Niestety, twoje rzeczy zostały zniszczone w wypadku.

- Zniszczone? - Teraz poczuła zapach kurzu, potu i środków dezynfekujących. - Spłonęły? - Poczula ciarki na plecach. Tak niewiele brakowało, by i z niej nic nie pozostało. - Muszę wystąpić o nowe - powiedziała, siadając. Pokój zawirował jej przed oczami, omal nie zemdląła.

- Mój współpracownik już to zrobił - rzekł uspokajająco. - Dokumenty będą gotowe, gdy nabierzesz sił do dalszej podróży.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego okazujesz mi tyle życzliwości?

To pytanie zdziwiło go.

- Jesteś w obcym kraju. Potrzebujesz pomocy. Zostałem do tego wybrany.

Wybrany?

Nie bardzo rozumiała, co miał na myśli. Pewnie to wynika z odmienności kultur.

- Wyciągnąłeś mnie z rozbitego samochodu. Dla większości ludzi to by wystarczyło. - Zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to marnie. Jakby nie była mu wdzięczna. - Uratowałeś mi życie. Mam dług wdzięczności.

- Twoje życie jest w dobrych rękach.

- Moje życie jest w moich rękach - zareplikowała.

Owszem, zawdzięcza mu życie, ale sama odpowiada za swój los. Dostała nauczkę i teraz liczy wyłącznie na siebie.

- Wszyscy jesteśmy w rękach Boga - odparł spokojnie, jej reakcję pewnie biorąc za objaw szoku i leków.

- Przepraszam - zaczęła ostrożnie. - Jesteś dla mnie wyjątkowo dobry, a ja zachowuję się jak niewdzięcznica.

- Nie można żywić pretensji do kogoś, kto ma za sobą takie przejścia - odparł z powagą.

Mistrzowskie stwierdzenie. Choć, być może, bez ukrytych intencji. Uśmiechnęła się z trudem.

- Musisz jeść, żeby się wzmocnić.

Pokręciła głową. Hanif natychmiast ją zastopował.

- Nie rób tego - powiedział, lekko dotykając jej policzka. - Przynajmniej przez dzień czy dwa.

To niespodziewane dotknięcie zaskoczyło ją. Podskoczyła jak oparzona, a on szybko cofnął dłoń.

- Na co miałabyś ochotę?

Marzyła o wodzie, lecz bała się, że znowu ją rozleje.

Może powiedziała to na głos, a może wyczytał to w jej oczach, bo sięgnął po szklanekę i przysiadł na łóżku, podsuwając ramię, by mogła się na nim wesprzeć.

- Dam sobie radę - zapewniła. Spróbowała oprzeć się na łokciach, jednak zachwiała się, a jej ciało przeszył przeraźliwy ból. Hanif podtrzymał ją, nim zdążyła osunąć się na łóżko, chroniąc ją przed upadkiem.

- Spokojnie, mamy czas - rzekł, podsuwając jej szklanekę do ust.

Dotknęła jej ręką, unikając patrzenia na Hanifa. Ta sytuacja krepowała ją, zbijała z tropu. Nie była przyzwyczajona do takiej bliskości. Hanif nie popędzał jej, okazywał bezmierną cierpliwość. - Wystarczy? - upewnił się, gdy przestała pić.

Już miała skinąć głową, gdy przypomniała sobie, że nie powinna tego robić. Spojrzała na swego opiekuna i na mgnienie ich spojrzenia się skrzyżowały. Poczula się dziwnie. Miała nieprzyjemne poczucie, że tym spojrzeniem przenika ją do głębi.

Pomógł jej oprzeć się o poduszki, wstał. Była lekka jak piórko, nierzeczywista jak unoszące się w powietrzu babie lato, a jednak obudziła wspomnienia, które już pogrzebał. Ożyły chwile, gdy tak samo podtrzymywał inną kobietę.

Znów widział jej ciemne oczy, błagające, by pozwolił jej odejść.

Odkąd wyciągnął Lucy z rozbitego auta, nie mógł się opędzić od wspomnień, od mimowolnego powracania do tamtych bolesnych wydarzeń. Daremnie starał się odepchnąć je od siebie, wyzwolić się z przeszłości.

Lucy pachniała pustynnym kurzem i szpitalem, jednak przez ten zapach przebijała się ciepła woń jej ciała.

Jest w niej coś znajomego, a jednocześnie coś zupełnie nowego. Nabrał powietrza, by się uspokoić. Nie przypuszczał, że będzie mu tak trudno. Że będzie musiał znów zmierzyć się z bolesnymi wspomnieniami.

Ona jest inna.

Lucy naprawdę jest inna. Nur miała ciemne oczy, oliwkową cerę, wydawała się uległa i słodka jak miód, choć w istocie była twarda jak stal.

Lucy całkowicie się od niej różni.

Nie tylko pod względem zewnętrznym.

W przeciwieństwie do Nur, mocnej i trwałej jak opoka, Lucy jest pełna wahań i lęków, trawiona zgryzotą i niepewnością. I w jakimś sensie potrzebuje go, inaczej niż Nur.

- Na pewno chętnie napijesz się herbaty - zagaił. - Może też zjesz coś lekkiego?

- Najpierw chciałabym skorzystać z łazienki. Wziąć prysznic i umyć włosy.

Ostrożnie podparła się na łokciu. Widział, że ją boli, lecz zacisnęła usta. Uparta z niej kobieta.

Widział, co czuje. Przed laty, gdy był młody i uważał siebie za niezniszczalnego, zaliczył poważny upadek i złamał nogę. Przez długie tygodnie był unieruchomiony, co strasznie go denerwowało.

- Jak na pierwszy raz, to chyba zbyt ambitne zadanie - rzekł. - Może przyniosę miskę z wodą, a ty...

- Nie jestem inwalidą. Trochę się poobijałam, ale nic mi nie jest - odparła i nagle jęknęła z bólu.

- Tak cię boli? - W jego głosie zabrzmiała nuta niepokoju.

- Nie - prychnęła. - Zawsze jęczę, gdy się poruszam. - Zmitygowała się. - Słuchaj, wiem, że chcesz jak najlepiej, ale pokaż mi tylko, gdzie jest łazienka. Sama sobie poradzę.

- Niestety, w mym domu nie ma kobiet. Jeśli uważasz, że dasz sobie radę...

- Tak uważam. Założę się, że nie zgodziłbyś się, by obcy mężczyzna mył twoją żonę. Nawet gdyby to był pielęgniarz.

- Moją żonę mógł leczyć nawet Marsjanin, jeśli to tylko mogło jej pomóc. W jego słowach było coś, co ją tknęło. Dlaczego używa czasu przeszłego? Nie, nie będzie teraz tego dociekać.

- Wiem, że chcesz mi pomóc, i jestem ci za to wdzięczna, ale poradzę sobie. - Widząc jego obiekcje, dodała: - Poza tym chodzi o coś więcej niż prysznic. I nawet nie próbuj mnie przekonywać, że możesz podać mi basen.

- Ale jesteś zawzięta. Jeśli upadniesz i coś sobie zrobisz, znów wylądujesz w szpitalu.

- Powiesz wtedy, że zrobiłam to na własne życzenie.

- No dobrze. - Rozejrzał się, jakby czegoś szukał. - Poczekaj - rzucił władczo, pośpiesznie wychodząc z pokoju.

Nie zamierzała go słuchać. Wolą sama wstać.

Łatwiej było powziąć takie postanowienie, niż wprowadzić je w czyn. Odsunęła kołdrę, zagryzła usta.

Co za ironia losu. Przez całe życie była spokojna i cicha, zawsze usuwała się w cień. A gdy tylko została pozostawiona samej sobie, zrobiła dokładnie to, przed czym zawsze przestrzegała ją babcia. Stała się taka jak mama.

Impulsywna, porywcza, zawsze w tarapatkach...

Gdyby nie trafił się ten Hanif, spaliłaby się w samochodzie.

Z powodu pieniędzy. Bez sensu.

Przez całe życie ledwie wiązała koniec z końcem, a kiedy nagle stała się bogata, nie miała pojęcia, co zrobić z tym majątkiem. Jedyne, co zyskała, to złudzenia. Przez kilka tygodni wierzyła, że Steve ją kocha, że jej pragnie.

Był kłamcą i oszustem, ale przynajmniej coś od niego dostała. Choć trudno uznać to za cenne doświadczenie, trzeba pogodzić się i wyciągnąć naukę na przyszłość.

Opuściła nogi na podłogę i spróbowała stanąć. Dopiero wtedy poczuła, czym jest prawdziwy ból.

Nie krzyknęła, gdy upadała na podłogę. Chciała, ale nie mogła wydobyć z siebie tchu. Nawet gdy Hanif wpadł do środka, wypuszczając coś z rąk i chwytając ją w ramiona. Przemawiał do niej czule i choć nie rozumiała słów, wiedziała, że próbuje ją uspokoić.

Był wściekły na siebie. Przyzwyczajony, że wszyscy karnie wykonują jego rozkazy, ani przez moment nie pomyślał, że Lucy może go nie posłuchać. Zostawił ją, by pójść po kule i opatrunek usztywniający kostkę.

Przepraszał ją, szepcząc. Dopiero kiedy oparła głowę na jego barku i rozluźniła się nieco, spytał:

- Lucy, nie mogłaś na mnie poczekać?
- Myślałam, że dam sobie radę. Co mi się stało? Dlaczego tak mnie boli?
- Masz zerwane więzadło w kostce.
- Tylko to? - zdumiała się.
- To bardzo bolesny uraz - odparł ze współczuciem.

Zaczynała sobie przypominać. Wtedy wszystko stało się tak nagle, że nic nie czuła. Teraz obrazy napływały powoli, jak w zwolnionym tempie...

Drżała, złana potem, słała się na nogach. Hanif podał jej wodę, bardzo delikatnie otarł jej czoło i usta. Domyśliła się, że jej usta muszą wyglądać strasznie.

- Nieźle ci idzie - parsknęła ze złością. Była zła na siebie, że wszystko tak komplikuje. - Na pewno nie jesteś pielęgniarzem?

- Nie jestem. Ale opiekowałem się moją umierającą żoną. Z jego twarzy niczego nie można było wyczytać. Jednak

Lucy nie dała się zwieść.

Przez lata ukrywała swoje uczucia, doprowadziła to do perfekcji. Steve ją z tego wyleczył, jednak potrafiła dostrzec to, co dla innych było niezauważalne.

- Przepraszam cię... Han - wydusiła. Zachowała się tak bezdusznie, a on jedynie chciał jej pomóc. Co nie było dla niego łatwe i co przywołało bolesne wspomnienia.

- Widziałam miraż - zaczęła powoli. - Tak mi się przynajmniej wydawało. A potem, po wypadku, ujrzałam anioła. Miał złote skrzydła. Przyszedł, by mnie zabrać. Myślałam, że już nie żyję...

- Już dobrze, nic nie mów, tylko niepotrzebnie się zdenerwujesz...

- A potem zobaczyłam ciebie i myślałam... myślałam... Nie mogła zdobyć się, by to powiedzieć.

- Co i raz traciłaś przytomność. Dlatego obrazy się nakładają, rzeczywistość miesza się z iluzją.

- Mówisz to z doświadczenia? - uśmiechnęła się blado.

- Niestety tak. W szpitalu zrobili ci tomografię - rzekł, by dodać jej otuchy. - Twoja głowa nie ucierpiała w wypadku.

- Tylko ta kostka? Na pewno nic więcej?

- Tylko skaleczenia i obtarcia.

- Nie połamalam sobie żeber?

- Nic na ten temat nie słyszałem - odparł już lekko zniecierpliwiony. - Boleć cię?

- Wszystko mnie boli. To jakie jest rokowanie?

- Powierzchowne rany i skaleczenia powinny się szybko zagoić. Przez kilka tygodni powinnaś mieć usztywnioną kostkę i poruszać się o kulach. To po nie poszedłem.

- Och, nie wiedziałam.

- Powiniennem ci wytłumaczyć. - Uśmiechnął się, chyba z lekkim przymusem. - Przywykłem do posłuchu. Nie pomyślałem, że możesz nie wykonać polecenia.

- Naprawdę? Cóż, przykro mi to mówić, jednak kobiety Zachodu nie pozwalają sobie rozkazywać.

- Nie? Chcesz wziąć prysznic?

- Proszę...

- W takim razie zgoda, ale na moich warunkach.

- Słucham? - Zrozumiała żart, roześmiała się. - Tak jest, proszę pana!

- Trzymaj się - powiedział, a ona bez wahania chwyciła palcami za jego ciemną szatę.

Jej śmiech wdzierał mu się w duszę. Już sam nie wiedział, co jest trudniejsze: trzymać ją w ramionach, czy puścić, by założyć jej usztywnienie na kostkę. Podtrzymał Lucy, gdy znów zakreśliła się jej w głowie.

- Już dobrze - zapewniła. - Podaj mi kule.

Nie spierał się, lecz uważnie obserwował. Pomógł jej podnieść się z łóżka, a potem stanął przy niej, delikatnie przytrzymując ją rozpostartymi ramionami. Czują jego silne dłonie. Dłonie, które dają kobiecie poczucie bezpieczeństwa.

Jest wszystkim, czym nie był Steve.

Hanif to skała, podczas gdy człowiek, za którego tak pochopnie wyszła, to ruhome piaski.

Wirowało jej w głowie, nogi się ugiwały. Wpatrzyła się w ciemne jak noc oczy swego wybawcy...

- Lucy...

Chyba ją o coś pytał, ale nie słyszała słów.

Przełknęła ślinę, oszołomiona tym, co się z nią działo, uczuciami, jakie ją przepełniały. Próbowwała się z tego otrząsnąć.

- Nic mi nie jest - wyszeptała bez tchu. - Możesz mnie puścić. - Hanif nawet nie drgnął. - Nie przewrócę się.

Ostrożnie wysunęła zdrową nogę, przeniosła na nią ciężar i wsparła się na kulach. Hanif nadal ją podtrzymywał.

Nie mógł jej puścić. Czuł, że oto historia się powtarza, że jeśli przestanie się koncentrować, choćby na mgnienie, Lucy upadnie. I straci ją.

Bez sensu.

Ona nic dla niego nie znaczy.

Uczucia już dawno się w nim wypaliły.

Jednak w chwili, gdy dostrzegł tuman kurzu wzbijany przez jej samochód, jego świat zakołysał się w podstawach, a on sam znów zaczął odczuwać złość, gniew, niepokój...

Wolał się w to nie wgłębiać.

- Zrobimy, jak mówię - rzekł ostro. - Albo wcale.

- Rozkazy?

- Zrób, co mówię. Może ci się spodoba.

Odgarnęła pasmo włosów z twarzy i opierając się na kulach, posunęła się o krok, z trudem powstrzymując jęk bólu. Na mgnienie całym ciałem wsparła się o Hanifa, kładąc czoło na jego piersi, przywierając bezwładnie do jego mocnego torsu. Przytrzymał ją pewnie i na chwilę ból jakby ustał.

- Jest trudniej, niż myślałam - wykrztusiła.

- Bo jeszcze nie jesteś gotowa - powiedział, odgarniając jej za ucho niesforny kosmyk, starając się nie zauważać jego jedwabistej gładkości.

- Dzięki. Zwykle wiążę je z tyłu. Zetnę włosy, jak tylko wrócę do domu.

- Dlaczego? - Nie krył poruszenia. - Są piękne.

- Za dużo z nimi zachodu. Miałam to zrobić przed przyjazdem do Ramal Hamrah. No dobrze, już mogę iść.

Powoli doczłapali do łazienki. Nogi jej drżały z wysiłku, bolały dłonie, ramiona, barki i plecy. Nie mogła rozprostować palców zaciśniętych na kulach.

- Nie ruszę się stąd, póki się nie wykapię.

- Jesteś naprawdę uparta, Lucy.

- Nie poddam się łatwo. Pod prysznicem jest siedzisko. Czyli nie ma problemu. Odkręć wodę.

- Tylko nie zamykaj drzwi - rzekł, wychodząc.

Nadrabiała miną, jednak jakoś jej się udało. Woda spływająca po skórze przywracała jej życie. Z myciem włosów nie poszło tak łatwo. Gdy wciągnęła na siebie szlafrok, padała ze zmęczenia.

- Han? Był w drzwiach, nim jej głos zdażył przebrzmieć.

- Dziękuję. Sama bym otworzyła, ale mam zajęte ręce, więc to niemożliwe.

- To ty jesteś niemożliwa, Lucy Forrester. Chodźmy, już przyniesiono jedzenie i herbatę. Zjesz, a potem odpoczniesz.

Liczył na chwilę samotności w pięknym ogrodzie rozciągającym się wokół pawilonu, gdzie odpoczywała Lucy.

Ogród, otoczony wysokim murem chroniącym przed wdzierającym się piaskiem i zwierzętami, został założony wiele wieków temu. Bijące tu naturalne źródło dawało życie bujnej roślinności. W ogrodzie, będącym ziemską namiastką raj, szukał wytchnienia i uspokojenia.

Po tych cichych zakątkach krążył już trzy lata, lecz dopiero dziś nie targały nim wyrzuty sumienia i poczucie winy. Jeszcze nie doszedł do migoczącego w słońcu stawu, gdy usłyszał za sobą szybkie kroki Zahira.

- Panie!

Odwrócił się. Dzień był bezwietrzny, lecz czubki palm zafalowały. Helikopter. Od miesiący nikt się tu nie pokazał. Skoro dziś ktoś przylatuje, musi to mieć związek z Lucy Forrester.

- Będziemy mieli gościa.

Kogo? Mężczyznę, którego tak rozpaczliwie chciała odnaleźć Lucy? Był tego niemal pewien.

- Księżniczkę Amirah, panie.

Czyli w tym się pomylił, co nie zmienia faktu, że jej przyjazd ma związek z Lucy.

- Wygląda na to, że będę miał przyzwoitkę. Nie traciłeś czasu, Zahir, by powiadomić mego ojca, co wczoraj się stało.

- Panie - zaproponował. - Ja tego nie zrobiłem. Nigdy bym... - Urwał. - Twój ojciec bardzo się niepokoi. Rozumie twój ból, Han, ale potrzebuje ciebie.

- Ma jeszcze dwóch innych synów. Jeden przejmie sukcesję, drugi z nim poluje.

- Ale ty, Han...

- Mnie może skreślić.

- W szpitalu nikt ciebie nie rozpoznał, dam za to głowę, jednak zabranie pani Forrester nie przeszło niezauważone. Panie - umilkł, przedłużającym się milczeniem dając do zrozumienia, że zwątpienie w jego lojalność sprawiło mu przykrość. - Było jedynie kwestią czasu, kiedy wieści dotrą do emira.

- Z pewnością będzie dociękać, czemu nie dowiedział się o tym od ciebie.

- Spełnił pan dobry uczynek, ekscelencjo. Nie wydaje mi się, by akt dobrej woli był sprawą takiej wagi, by absorbować Jego Wysokość.

- Miejmy nadzieję, że Jego Wysokość podzieli twoją opinię. - Hanif dotknął ramienia Zahira. Gest dla obu będący znakiem przeprosin. - Bardzo bym nie chciał, by zastąpił ciebie ktoś mniej wyczulonym na jego spokój.

A może Zahirowi właśnie o to chodziło? Może upatrywał w tym szansy powrotu do centrum wydarzeń.

- Choć chyba powinienem cię ostrzec, że może się tak stać, skoro przysłał tutaj księżniczkę.

- Może to zbieg okoliczności.

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności. - Domyślał się intencji ojca. Jeśli jest w stanie zająć się obcą kobietą, to równie dobrze może to zrobić dla własnej córki. Odwrócił się.

- Poczyń przygotowania do przyjęcia księżniczki.
- Już to zrobiłem. - Zahir podniósł głos, bo warkot helikoptera narastał z każdą sekundą. Z drzew posypały się kwiaty. - Przywitasz się z nią?
- Nie teraz. Będzie zmęczona po podróży. Może jutro - dodał, widząc minę Zahira.

ROZDZIAŁ TRZECI

Podziękowała Hanowi za środki przeciwbólowe, mimo to na szafce nocnej zostawił jej dwie tabletki i szklanek z wodą, w razie gdyby zmieniła zdanie. Nim wyszedł, położył obok mały dzwoneczek, by mogła łatwo wezwać pomoc.

Czuła się wykończona, choć nie tylko z powodu wypadku. Miała za sobą wiele bezsennych nocy. Pierwszy wyciąg z karty kredytowej uznała za pomyłkę. Napisała e-maila do Steve'a, a on obiecał, że to wyjaśni. Jednak po kilku dniach przyszedł drugi wyciąg. I wtedy już wiedziała, że to ona popełniła błąd.

Poruszyła się niespokojnie, a obolałe ciało natychmiast zareagowało. Mogłaby uśmierzyć ból proszkiem, jednak wolała zachować jasność umysłu.

Przede wszystkim musi przemyśleć sobie najważniejsze rzeczy, zastanowić się, co dalej. I jak dużo powiedzieć Hanifowi. Nie chce go wpędzać w kłopoty, ale z drugiej strony woli uniknąć konfrontacji z tutejszymi władzami. A jeśli Hanif dowie się prawdy, nie będzie miał innego wyjścia.

Z tego, co wyczytała w internecie, wynikało, że Ramal Hamrah jest nowoczesnym krajem, w którym prawa człowieka są przestrzegane. Tylko jak to odnieść do rzeczywistości? Jakie sankcje czekają złodzieja samochodu, nawet jeśli jego działanie było uzasadnione? Zwłaszcza że sama zaczynała mieć wątpliwości, czy jej czyn da się usprawiedliwić.

Babcia miałyby jednoznaczną opinię na ten temat. Pismo Święte też jasno określa, co jest grzechem...

Jednego tylko była pewna - przez te ostatnie dni wszystko robiła nie tak, jak powinna. Gdyby zgłosiła się na policję, zamiast ścigać Steve'a, nie wpadłaby w takie tarapaty. Teraz grunt usuwa się jej spod nóg.

Może dobry prawnik jakoś by ją z tego wyciągnął, dowiódł, że działała w afekcie, że była wytraconą z równowagi. Może mógłby obarczyć winą Steve'a, zmusić go do zadośćuczynienia za jej krzywdy.

Ale co by jej to dało? Nawet gdyby było ją stać na prawnika, to Steve, siedząc w więzieniu, nie mógłby zwrócić jej pieniędzy.

Zresztą nie chodziło jej o pieniądze.

Właśnie to ją tak dobijało. Kiedy ruszała terenówką, by go dopaść, pragnęła tylko jednego - by wszystko jakoś wyprostował.

Jakby to było możliwe.

Miała już dość tych rozważań. Sięgnęła po tabletkę. I wtedy spostrzegła, że nie jest sama.

- Cześć - uśmiechnęła się blado. Zza otwartych drzwi wyglądała ukradkiem mała dziewczynka o egzotycznej urodzie, ubrana w jaskrawe jedwabie. Nie poruszała się. - Jak się nazywasz? - zapytała Lucy, przywołując z pamięci arabskie słowa. Mała głośno wypuściła powietrze i czmychnęła, pozostało po niej tylko pobrzękiwanie cieniutkich złotych bransoletek.

W przejściu mignęła sylwetka kobiety odzianej w czarną szatę. Zatrzymała się na mgnienie, wydała zdumione westchnienie.

- Przepraszam, przepraszam - wyszeptała i w jednej chwili zniknęła.

Czy to ja ją wystraszyłam? Aż tak źle wyglądam?

W łazience na pewno jest lustro. Nawet u babci wisiało lustro nad umywalką. Tutaj też musi być.

Do tej pory wołała nie myśleć o tym, jak wygląda. Pewnie działał instynkt samozachowawczy. Jednak teraz chciała przekonać się o tym na własne oczy.

Przesunęła dłonią po twarzy. Spuchnięte usta, oczy, okolice nosa. Cała twarz wydawała się inna, obca.

Han postawił kule na końcu pokoju. Trudno, jakoś sobie poradzi. Musi znać prawdę, choćby najgorszą. Opuściła nogi na podłogę i stanęła na zdrowej, przytrzymując się ręką nocnego stolika.

Całe ciało, wszystkie mięśnie, ścięgna i kości zaprotestowały gwałtownie. Tabletki spadły na ziemię, za nimi szklanka z wodą i dzwonek. Na koniec telefon.

Nie mogła nic zrobić. Jedynie trzymać się stolika i modlić.

To pomogło, bo po chwili pokój przestał wirować. Wołała nie ryzykować testowania chorej kostki. Przytrzymując się mebli, zaczęła przesuwać się do łazienki, skacząc na jednej nodze. Wszystko ją bolało, lecz zacisnęła zęby.

W łazience czekało ją rozczarowanie. Nad umywalką był tylko ślad po lustrze. Czy to znaczy, że ktoś je zdjął, bo tak fatalnie wygląda?

Nogi się pod nią ugięły, osunęła się na podłogę. Przez moment nie mogła dojść do siebie. Kiedy się w końcu otrząsnęła, nie miała siły, żeby się podźwignąć. Pozostawało jej przeczołgać się do pokoju albo wzywać pomocy.

Gramoliła się na kolana, gdy tuż nad sobą ujrzała Hana.

- Czy ciebie nawet na chwilę nie można zostawić samej?

- Posłuszeństwo chyba nie jest moją mocną stroną. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Szło mi nawet nieźle, ale pokonała mnie siła ciężkości.

- Nie narzekaj. Bez niej dopiero byśmy mieli problemy.

- Zmienił temat. - Umawialiśmy się, że w razie czego będziesz dzwonić.

- Tak? - Po mieszkaniu z babcią miała uraz do dzwonek. - Prosiłeś o to, ale ja wcale się nie zgodziłam. Zresztą pewnie byś chciał mnie powstrzymać.

- Dlaczego?

- Bo chciałam zobaczyć się w lustrze. Mój widok wystraszył małą dziewczynkę. Uciekła, kiedy się do niej odezwałam. Musiałam na własne oczy przekonać się, jak wyglądam.

- Amirah tu była?
- Tak ma na imię? Biedactwo, tak się przeraziła.
- Biedactwo, akurat - mruknął. - Uciekła, bo została przyłapana w miejscu, gdzie nie powinno jej być. - Podał jej rękę. - Chodź, pomogę ci wrócić do łóżka.
- Chcę zobaczyć, jak naprawdę wyglądam - powiedziała.
- Jeśli aż tak źle, że zabrałeś stąd lustro...
- Nie, to nie ma z tobą żadnego związku - odparł z roztargnieniem. - Stłukło się już dawno temu. Wyglądasz...
- Strasznie?
- Nie. Masz trochę siniaków i stłuczeń. Nie tak źle.
- Mam podsiniaczone oczy? Zawahał się.
- Nie całkiem. - Widząc jej minę, dodał: - Fioletowe z żółtymi brzegami.
- Zawsze myślałam, że takie opisy są przesadzone. Coś jeszcze? .
- Kilka skaleczeń, ale nie pozostawia blizn. Dolną wargę masz spuchniętą.
- Wydawało się, że chciał jeszcze coś dodać, lecz zamilkł.
- I?
- Wzruszył ramionami, ale Lucy wpatrywała się w niego pytająco.
- Podczas dachowania dostałaś kilka razy torebką. Uderzyła cię w policzek, tutaj - musnął palcem jej skórę - i tutaj.
- Moja torebka od Chanel? - dopiero teraz dotarło do niej, że i ją straciła w wypadku.
- Han popatrzył na nią badawczo. Naraz wyraz jego twarzy się zmienił.
- Przykro mi. Mam nadzieję, że była ubezpieczona.
- Nie - wyznała. - Ale nie martw się, jestem niemal pewna, że to była podróbka.
- Nie wiesz tego?
- Dostałam ją w prezencie.

Zmarszczył brwi. Chyba jej nie zrozumiał. Przypuszczalnie sam nigdy by się nie posunął do tego, by obdarowywać kogoś imitacjami. A już na pewno by nie udawał, że to oryginał.

- Może jestem niesprawiedliwa - powiedziała, choć w świetle ostatnich wydarzeń coraz mniej wierzyła, że Steve szarpnął się na taki wydatek.

- Mam nadzieję, że cię uspokoiłem, ale na wszelki wypadek dopilnuję, by zamontowano ci lustro.

- Nie ma pośpiechu. - Pomógł jej wstać, a potem objął ją w talii i pomógł dojść do łóżka. - Dzięki twojemu opisowi mogę już sobie wyobrazić, jak wyglądam. I wcale mi się nie śpieszy, żeby to zobaczyć.

Ktoś już posprzątał pozrzucone rzeczy i ustawił telefon.

- Han... - Musi powiedzieć mu o tej terenówce. Powinien wiedzieć, że udziela schronienia przestępcy. - Muszę ci coś powiedzieć...

- Weź te tabletki - uciał, sadzając ją na łóżku. Przez moment siedziała nieruchomo, czując ciepło jego ramienia. Hanif puścił ją nagle, ułożył jej nogi na łóżku i okrył ją kołdrą. - Musisz odpocząć, nabrać sił. Inne rzeczy zaczekają do jutra.

Może i miał rację. Będzie dociekał, czemu ukradła samochód, zażąda wyjaśnień. Musi dobrze się zastanowić, co mu powiedzieć. Jeśli wyzna prawdę, trudno przewidzieć, jakie mogą być tego konsekwencje, również dla Steve'a.

Podał jej dwie tabletki. Połknęła je.

- Jeśli czegoś będzie ci trzeba, to dzwoń.

Po kilku minutach zaczęła zapadać w sen. Nurtowało ją jeszcze jedno pytanie, to, którego nie zadała. Kim jest ta dziewczynka? I dlaczego powiedział, że w tym domu nie ma kobiet?

Obserwował, jak zapada w sen. Coś ją gnębiło, szeptała jakieś słowa. Wiedział, że problemy nie miną z nadejściem snu. Przemawiał do niej cicho, uspokajająco.

Wreszcie Lucy usnęła. Hanif zwolnił służącego czuwającego w sąsiadującym pokoju, otworzył drzwi na balkon, usiadł w fotelu. Na ciemnym niebie migotały gwiazdy, nocne powietrze przesycił słodki aromat jaśminu.

Powoli na niebo wypłynął ostry sierp księżyca, rozjaśniając mrok. Z czasem ciemność zszarzała, do szarości dołączyły blade odcienie fioletu i różu.

- Halo, jest tu ktoś?

- Lucy, czemu nie zadzwoniłaś? - zapytał Han, wchodząc z balkonu do jej pokoju.

- To nie w moim stylu - odparła.

- Jak się czujesz?

- Lepiej, dziękuję. - Popatrzyła na blade światło świtu przesączone przez żaluzje. - Myślałam, że spałam dłużej.

- Spałaś całkiem długo. To nie zachód słońca, a wschód. Sen przywrócił jej życie, pomyślał, obserwując ją.

- Zjesz ze mną śniadanie? - zaproponował. - Na balkonie.

Nie wiedział, dlaczego to zrobił. Wcześniej jadali z Nur na balkonie, ciesząc się sobą, będąc tylko dla siebie. Wspomnienia tamtych chwil należały do najcenniejszych. Bez Nur śniadania straciły dla niego swój urok, jedzenie służyło jedynie utrzymaniu przy życiu. Żałował, że niepotrzebnie wyrwał się z zaproszeniem, lecz było za późno, by się wycofać.

Poza tym rześkie poranne powietrze dobrze Lucy zrobi, a przy posiłku rozluźni się i może zrzuci kamień z serca.

- Przyniosę ci kule - rzekł, nie czekając na odpowiedź.

- Dobrze. - Mimo zapuchniętego oka i rozciętej wargi uśmiechnęła się lekko. - Uczysz mnie posłuszeństwa, co?

Powinien odpowiedzieć uśmiechem, dodać jej otuchy i pewności siebie. Nauczył się tego jako dziecko, na ojcowskich kolanach. Później, już jako dyplomata, doskonalił tę sztukę. Kiedy ostatni raz uśmiechał się szczerze?

Kiedy uśmiech, jaki pojawiał się na jego twarzy, nie był jedynie wyuczonym grymasem, oznaką uprzejmości?

Doskonale pamiętał tamten dzień. Tamtą chwilę.

Z Lucy nie będzie się bawił w dyplomatę. Ta dziewczyna zasługuje na więcej.

- Wręcz przeciwnie, Lucy. To ja czekam na twoje rozkazy. - Sięgnął po telefon. - Na co masz apetyt? - Wahala się, więc dodał: - Śmiało, mów.

- Sok pomarańczowy?

Czemu jest taka nieśmiała? Czemu taka kobieta jest tak niepewna siebie, czemu nie mówi wprost, czego chce?

- Sok pomarańczowy. Co jeszcze? Kawa? Herbata?

- Herbata. Dziękuję.

- A co do jedzenia?

- Cokolwiek. Naprawdę.

Nie naciskał jej. Zamówił zestaw różnych potraw.

Lucy wzięła prysznic i przebrała się w długą koszulę z kremowego jedwabiu i dobrany do niej szlafroczek.

Poruszanie się szło jej coraz lepiej. Dołączyła do gospodarza czekającego na balkonie. Balkon, ciągnący się przez całą długość budynku, był ocieniony ozdobnym drewnianym dachem.

Poniżej rozciągał się ogród. Między długimi, równoległe poprowadzonymi kanałami błękitniały obsadzone liliami stawy. Obsypane kwieciami migdałowce stanowiły tło dla smukłych cyprysów. Zieleń ciągnęła się niemal po horyzont, za dalekimi drzewami ciemniały góry, ich szczyty już mieniły się złotem wschodzącego słońca.

- Jak tu pięknie! - zachwyciła się, siadając na podanym jej krześle. - Gdzie my jesteśmy?

- Starożytni Persowie nazywali to miejsce *pairidaeza*.

- Wygląda jak prawdziwy raj.

- W późniejszych czasach to słowo oznaczało i raj, i ogród. *Pairidaeza* to miejsce otoczone murem. To nazywa się Rawdah al-Arusah - wyjaśnił, nalewając jej sok i podając szklanę. - Czyli Ogród Panny Młodej.

- Och...

Przez krótką, przerażającą chwilę myślała, że chodziło o jego narzeczoną, ale uzmysłowiła sobie swój błąd, nim jeszcze Han pokręcił głową. Ten ogród został założony przed wiekami.

- Pawilon i ogród to dzieło jednego z moich przodków. Stworzył to miejsce dla swojej perskiej oblubienicy, która umierała z tęsknoty za ogrodem zostawionym w swojej ojczyźnie.

- Dla jednej kobiety? Musiał ją bardzo kochać.

- To cię dziwi?

- Tak. Nie... - Zmieszała się. - Domyślam się, że małżeństwa między rodami panującymi były aranżowane. Tak jak kiedyś w Anglii.

- Oczywiście, że tak. Takie małżeństwa służą wzmocnieniu więzi między krajami, nawiązaniu dobrych stosunków z państwami, które wcześniej były wrogami.

Mówił w czasie teraźniejszym. To ją zastanowiło.

- Czy ta tradycja nadal jest tutaj żywa?

- Sprawy takiej wagi nigdy nie mogą być puszczone na żywioł.

Upiła łyk soku. Oszczędziła sobie komentarza.

- Nie przekonują cię takie związki. Uważasz, że brak w nich uczucia, że są zimne?

- To nie małżeństwo, a transakcja - podsumowała.

- Kiedy mężczyzna i kobieta zawierają małżeństwo w przeświadczeniu, że tego wymaga od nich honor i dobro ojczyzny, miłość i obowiązek stają się tożsame.

Miłość i obowiązek.

Obowiązek. W tym słowie jeszcze do niedawna zawierało się jej życie. Miłości co kot napłakał.

I w jednej chwili wszystko się nagle zmieniło.

Odstawiła szklanekę, popatrzyła na palec, na którym jeszcze wczoraj połyskiwała złota obrączka. Dziwnie się z nią czuła; obcierała ją nieco i drażniła. Dziś już jej nie miała. A wraz z nią przyjemnego, dodającego wiary w siebie poczucia, że jest przez kogoś kochana.

Spostrzegła, że Hanif przygląda się jej ze zmarszczonym czołem.

- Tak po prostu?

- Nic, co naprawdę się liczy, nie jest proste i łatwe. Każde partnerstwo wymaga pracy, zrozumienia i kompromisu.

- Początkowa fascynacja drugą osobą nie ma znaczenia? Znałeś swoją żonę, nim się z nią zaręczyłeś?

- Poznałem ją dopiero po podpisaniu kontraktu.

- Jednak pokochałeś ją.

- Uważasz, że w takim małżeństwie ludzie nie mogą być szczęśliwi?

- Kiedy cię teraz słucham, dochodzę do wniosku, że sama bym o niebo lepiej wyszła na takim układzie. Wszystko byłoby z góry ustalone.

- Byłaś zameżna? - zdumiał się. Przypomniała sobie, jak mył jej dłonie. Nie miała obrączki, dlatego teraz użył czasu przeszłego.

- Jestem mężatką - odparła z ociąganiem. - Wyszłam za mąż sześć tygodni temu.

- Sześć tygodni temu?

Patrzył na nią z niedowierzającym zdumieniem.

- I twój mąż puścił cię samą?

Widziała, że coś takiego nie mieści mu się w głowie. Nie pojmował, że jej mąż tak mało się o nią troszczył.

Byli z innych światów. Choć jego honorowe podejście do małżeństwa i miłości przemawiało do niej.

Gdyby warunki jej związku ze Steve'em były wcześniej ustalone, spisane czarno na białym, że w zamian za spadek, którego i tak się nie spodziewała, zostanie żoną takiego mężczyzny, dowartościuje się i zyska poczucie bezpieczeństwa, uważałaby siebie za szczęściarę.

Zamiast tego została przez niego zbalamucona, oszukana i okradziona, niczego nie otrzymując w zamian. Dlatego wyrzuciła obrączkę, którą Steve włożył jej na palec.

Pozostała jej już tylko duma.

- Mój mąż musiał wyjechać w pilnych interesach - powiedziała, unosząc brodę.

- Tak pilnych, że nie chciałaś zawracać mu głowy wypadkiem?

Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, jak to musiało wyglądać w jego oczach. Bez skrupułów korzystała z jego wielkoduszności, choć miała męża, który powinien się o nią zatroszczyć.

A może ona, jako żona innego, w jakiś sposób go skompromitowała?

- Przepraszam, powinnam ci od razu o tym powiedzieć. Moja obecność tutaj musi być dla ciebie bardzo niezręczna. Wyjadę...

Sięgnęła po kule, lecz Han przytrzymał jej rękę.

- Naprawdę czuję się o wiele lepiej.

- Lucy, musisz nabrać sił. Bądź moim gościem, jak długo zechcesz. Niech mój dom będzie dla ciebie azylem.

- Azylem? - Popatrzyła na jego mocną, silną dłoń. A jednak trzymał jej rękę tak delikatnie, jakby była zranionym ptakiem.

- Źle się wyraziłem? Miałem na myśli bezpieczne schronienie.

- No tak... - Zmusiła się, by podnieść na niego wzrok. - Choć to bardziej oznacza kryjówkę, miejsce dla kogoś, kto ucieka przed niebezpieczeństwem, komu coś grozi.

- Lucy, każdy z nas przed czymś ucieka. Nawet jeśli ścigają nas tylko cienie. - Nagle, jakby zdał sobie sprawę, że przekroczył niewidzialną granicę,

puścił jej dłonie i sięgnął po talerzyk. Chyba chciał obojgu dać chwilę na otrzeźwienie.

- W moim przypadku to nie są cienie - wyznała. Nie mogła go oszukiwać. Powinien znać prawdę. - Samochód, którym jechałam, nie należał do mnie.

Przestał nakładać jogurt, popatrzył na nią z powagą.

- Wynajęłaś go? - spytał. - Pożyczyłaś?

Poczuła ciarki na plecach. On już chyba przeczuwał, co chce mu powiedzieć.

- Nie. Steve powiedział mi, że agencja Bouheira Tours należy do niego, ale podejrzewam, że mnie okłamał. Nie pierwszy raz. Jeśli tak, to ukradłam tę terenówkę.

Podał jej miseczkę z jogurtem.

- Spróbuj, jest naprawdę dobry. Z mleka kóz, które sami hodujemy. Podać ci do tego miód czy owoce?

- Zrozumiałaś, co ci powiedziałam?

- Samowolnie wzięłaś tę terenówkę.

- Obawiam się, że w sądzie określą to inaczej.

- Pewnie tak. - Nałożył sobie jogurtu i kilka świeżych fig. - Widziałem logo agencji, więc pierwsze kroki skierowaliśmy właśnie tam. Myślałem, że jesteś ich pracownikiem albo klientką. Że się tobą zajmą.

- W takim razie już sam wszystkiego się dowiedziałeś. Powinnam się była domyślić. I co powiedzieli? Oskarżą mnie o kradzież samochodu? - Serce waliło jej jak młot. Może to dlatego przywiózł ją tutaj, by odciąć jej drogę ucieczki?

- Chyba cię zaskoczę, bo w Bouheira Tours nie tylko zaprzeczyli, by znali kobietę podającą się za Lucy Forrester, ale stanowczo twierdzą, że nie zginęło im żadne auto.

- Ale... - Oparła się, zmarszczyła brwi. - Wzięłam terenówkę z ich parkingu. W stacyjce były kluczyki i... - Czekał, ale Lucy nie dokończyła zdania. - Han, widziałeś ten samochód. Miał logo Bouheira Tours.

- Fakt. Jednak skoro zdecydowanie zaprzeczają, by coś im zginęło, nie mogą cię o nic oskarżyć. Jeśli zaś poniewczasie zorientują się w pomyłce, to nie mają wstępu za te mury.

Mury?

Popatrzyła na wznoszące się na horyzoncie góry. Słońce już było wyżej i w jego świetle szczyty były bardzo wyraźne. Kiedy lądowała, jak okiem sięgnąć ciągnęła się rozgrzana upałem pustynia.

- Jesteśmy na pustyni? Niedaleko miejsca wypadku? - Przeniosła wzrok na swego gospodarza. - Tuż przed tym, jak się roztrzaskałam, widziałam coś zielonego... Myślałam, że to miraż. - Zastanowiła się. Przypomniała sobie, co mówił o *pairidaeza*. Nie odrywając oczu od Hana, szerokim gestem wskazała na ogród. - To wszystko jest otoczone murem? A wokół jest tylko piach?

- Te mury pozwalają zachować wodę i chronią przed dzikimi zwierzętami. Inaczej w mgnieniu oka byłaby tu pustynia. Wolałabyś wrócić do miasta?

- Nie - odrzekła bez namysłu. - Nie...

- To można zrobić. Mój dom w Rumaillah jest teraz zamknięty, lecz moja matka czy siostry z radością przyjmą cię pod swój dach.

Może nie aż tak chętnie, skoro wcześniej się do nich nie zwrócił. Tym bardziej zastanawiające, czemu sam się nią zajął. Zwłaszcza że wiedział o czynie, jakiego się dopuściła.

- Nie, nie - zapewniła. - Za dzień czy dwa będę w świetnej formie, a jak tylko moje dokumenty będą gotowe, zniknę ci z oczu. Nie ma co jeszcze komuś zawracać głowę.

- Możesz tu zostać, ile tylko chcesz. Nabierz sił, by zmierzyć się z tym, co cię dręczy.

- Dlaczego wciąż mi wmawiasz, że coś mnie dręczy?

- Człowiek, który nie ma problemów, nie kradnie samochodu i nie ryzykuje życia. Ty to zrobiłaś.

Zabrakło jej argumentów.

- Jedz - zachęcił. - Spróbuj tych fig. Zostały zerwane specjalnie dla ciebie.

Podał jej fioletowy owoc. Najwyraźniej chciał zakończyć temat i niegrzecznie byłoby nadal go drażnić. Popatrzyła na ciężki, soczysty owoc. Ostrożnie odgryzła kęs i przeżyła szok. Owoce smakował bosko!

- Niesamowite! Jakie pyszne!

Han roześmiał się, zadowolony z jej reakcji. Nagle, jakby coś go uderzyło, podniósł się i odszedł w najdalszy koniec balkonu. Zaciśnął dłonie na ozdobnej drewnianej barierce, jakby tylko to mogło powstrzymać go przed rzuceniem się na kamienną ścieżkę siedem metrów niżej.

Wydawał się przeraźliwie samotny. Chciała podejść do niego, przytulić do piersi, pocieszyć go. Powiedzieć, że przecież życie toczy się dalej, że ten śmiech nie jest zdradą pamięci żony.

Może i dobrze, że kule wykluczały taki gest.

Nie potrafiła się wczuć w jego cierpienie. Nie miała pojęcia, co on przeżywa, sama nie poznała smaku miłości i czułości, nie umiała dać komuś wsparcia.

Domyślała się, że ta chwila samotności jest mu teraz potrzebna, że nie powinna mu przeszkadzać. Zajął się śniadaniem.

Nie mogła się jednak powstrzymać, by ukradkiem nie zerknąć na stojącego w oddali mężczyznę. Wpatrywał się w ciemniejące na horyzoncie góry. Stał daleko, lecz wręcz namacalnie czuła jego obecność. Kobieta, która go ujrzy, traci dla niego serce, teraz to było dla niej oczywiste.

Silny, władczy, pełen męskiego wdzięku.

Rysy wyrzeźbione z kamienia, przenikające do głębi spojrzenie. A mimo to była pewna, że gdy po raz pierwszy ujął dłoń żony, zrobił to z czułą delikatnością.

Nie mogła się w nim nie zakochać.

Poczuła ucisk w gardle, łyzy zapiekły pod powiekami. Czy Steve też byłby taki czuły? Czy gdyby nie musiał tak pilnie wyjechać, rozkwitłaby pod jego spojrzeniem, poczułaby się jak królowa?

Odwróciła wzrok i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w ogród, szukając ukojenia. Wreszcie zmusiła się, by przełknąć kęs jajecznicy.

Z trudem podniosła ciężki srebrny dzbanek.

- Poczekaj, ja to zrobię.

Ręce jej drżały, gdy odbierał od niej naczynie. Na chwilę przytrzymał palce na jej dłoniach, jakby chciał dodać jej otuchy, zapewnić, że już wkrótce odzyska siły. Nalał herbatę.

- Przepraszam, że odszedłem. Zdarzają mi się chwile, że wracają wspomnienia i nie nadaję się wtedy do towarzystwa - powiedział, stawiając przed nią filiżankę.

Nigdy nie zaznała takiego bólu, nawet nie potrafiła sobie go wyobrazić. Darowała sobie puste frazesy, jednak czuła, że nie powinna pozostawić jego wyznania bez słowa.

- Jak dawno straciłeś żonę?

Przez chwilę sądziła, że nie odpowie.

- Trzy lata temu. Nur zmarła trzy lata temu. Usiadł w trzcinowym fotelu, zamknął oczy.

- Nur? Już gdzieś słyszałam to imię.

- Wybrane przez amerykańską żonę zmarłego króla Jordanii.

- Może stąd je znam.

- Może. - Otworzył oczy, popatrzył na nią. - Gdy się pobraliśmy, stała się Umm Dżamal. Matką Dżamala.

Instynktownie czuła, że powinna pozwolić mu mówić, a sama tylko słuchać. Potrzebuje kogoś, przed kim mógłby się wygadać. Ona wkrótce stąd zniknie, więc idealnie się do tego nadaje. Wychowali się w innych kulturach, mają inną mentalność. Bała się, że niechcący może go czymś urazić. W dodatku

on tak cierpi. Jedyne sposobem, by się przed nią otworzył, to pytać. Z nadzieją, że nie wyrwie się z czymś niewłaściwym. Jednak jest mu to winna.

- Imię twojego syna było ustalone, nim jeszcze się pobraliście? - zapytała.

- Jestem synem Dżamala. - Machnął dłonią, jakby to było wystarczające wyjaśnienie. Zreflektował się, że może dla niej nie było to takie oczywiste. - Będę ojcem Dżamala, *inszallah*. Jak Allah da. Tak już u nas jest.

Upiła trochę herbaty.

- Moja żona zmarła na białaczkę - powiedział, przerywając przedłużającą się ciszę.

- Na białaczkę? Ale przecież... myślałam...

- Myślałaś, że większość ludzi udaje się z tego wyleczyć. Było coś w jego głosie, co powstrzymało ją przed drażnieniem tematu.

- Masz rację, Lucy. Przy odpowiednim leczeniu większość chorych wychodzi z białaczki, ale Nur usłyszała diagnozę, gdy spodziewała się dziecka. Mogli ją uratować, lecz odmówiła leczenia, bo to zaszkodziłoby dziecku.

Zakryła usta dłonią, ale przez zaciśnięte gardło i tak nie wydobył się żaden okrzyk.

Tak kochała swoje nienarodzone dziecko, że świadomie wybrała śmierć, życie dziecka było dla niej ważniejsze niż jej własne...

Jak błahe i żalodne są jej problemy w porównaniu z takimi.

- Przekonywałem ją, że możemy mieć następne dzieci. - Miała wrażenie, że mówi nie do niej, a do kogoś niewidzialnego. - A jeśli nawet nie, to trudno. Zapewniałem, że zawsze będzie Umm Dżamal. - Odwrócił się i popatrzył na Lucy. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. - Nic do niej nie trafiało. Nie chciała dla siebie ratunku. Nawet ze względu na mnie.

- A Dżamal? - zapytała. Syn, którego przyjście na świat było okupione takim poświęceniem, musi być dla niego najcenniejszym darem.

- Jej dziecko urodziło się silne i zdrowe - odparł.

Jej dziecko?

Naraz ją olśniło. To nie był chłopiec, a dziewczynka. Mała istotka, która tak przeraziła się na jej widok.

- Amirah. - Han milczał. - Była dla ciebie pociechą.

- Pociechą? - Zmarszczył brwi, jakby powiedziała coś niezrozumiałego.

- To dar Nur dla ciebie. Częstka jej samej.

- Ona wiedziała. Przez cały czas powtarzała, że poświęca się dla Dżamala, choć wiedziała, że to będzie dziewczynka.

- Chroniła swe nienarodzone dziecko - zareplikowała. Przecież to oczywiste.

- Okłamała mnie!

Wzdrygnęła się, poruszona tym gniewnym tonem, i całe ciało natychmiast zareagowało bólem. Jęknęła.

- Lucy, przepraszam... - Wyciągnął rękę.

- Nic mi nie jest - prychnęła, cofając ramię, nim zdążył ją dotknąć.

Jak on śmie mówić o miłości? O honorze.

Jego gniew był skierowany nie przeciwko chorobie, która zabrała mu żonę, a przeciwko kobiecie, która oszukała go, by ochronić nienarodzone maleństwo. Syn stałby się jego oczkiem w głowie, byłby noszony na rękach. Ale urodziła się córeczka. Ona nie wynagradzała straty żony.

Do tej pory uważała go za otwartego na innych człowieka, z którym łączy ją podobny system wartości. Teraz okazało się, że jej pierwsze wrażenie jej nie myliło. Hanif niby był dżentelmenem, jednak to tylko pozory. W istocie kierował się prostackimi instynktami plemiennego wodza.

Nie opłakiwał żony, a syna, którego mu obiecała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Lucy?

Zmusiła się, by na niego popatrzeć.

- Już zjadłaś? - zapytał, a kiedy skinęła głową, rzekł: - W takim razie teraz umyję ci włosy.

Co takiego?

Chyba się przesłyszała. Przed chwilą miała wrażenie, że rozmawia z postacią wynurzającą się z mroków średniowiecza, a teraz ma przed sobą nowoczesnego mężczyznę?

Może niesprawiedliwie go oceniła? Może to ona się myliła? Być może źródłem jego gniewu było cierpienie, żal do zmarłej żony, że zagrała na jego pragnieniu posiadania syna, że nie zawierzyła mu, bo bała się, że nie zaakceptuje jej decyzji?

- Jeśli wolałbyś tego nie robić - zaczęła ostrożnie - to może opiekunka Amirah mogłaby mi pomóc.

- Opiekunka Amirah?

- Mignęła mi wczoraj, gdy szukała twojej córeczki.

- Aha. - Oczy błysnęły mu niebezpiecznie. - I teraz myślisz, że okłamałem cię, mówiąc, że w tym domu nie ma żadnych kobiet?

Chciała zaprzeczyć, bo taka myśl wcześniej nie przyszła jej do głowy, dopiero teraz, gdy sam to powiedział, ale nie mogła wydusić z siebie słowa.

- Czemu miałbym to zrobić? - zapytał, przyjmując jej milczenie za potwierdzenie.

Nie dała się zwieść, choć mówił spokojnie. Stropiona, nie patrząc na niego, spuściła głowę. Podszedł i ujął ją pod brodę, by na niego spojrzeć.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak jak teraz. Ten gest był delikatny, a jednocześnie budził w niej lęk. Czuła się bezradna, wydana na jego łaskę. Nawet

nie drgnęła, gdy jego wzrok przesunął się niżej. Dopiero teraz spostrzegła, że poły jej szlafroka się rozchyliły.

- Może uważasz mnie za drapieżcę, który wlecze ofiarę do swojego legowiska, by się z nią zabawić?

- Nie! - wykrztusiła, gorączkowo zastanawiając się, jak go przekonać, że ani przez chwilę tak o nim nie pomyślała.

- Jeśli sądzisz, że wykorzystuję bezbronne kobiety - ciągnął Hanif - to myślisz, że obecność tuzina innych kobiet by mnie powstrzymała?

- Nie! Tak! - Już sama nie wiedziała, co powinna powiedzieć. Poczul się urażony, to jasne. Należą mu się przeprosiny. I szczerść.

- Han, zapewniam cię, że nie zrobiłeś niczego niewłaściwego. Przeciwnie.
- Hanif nawet nie drgnął. - Nie zrobiłeś niczego, co mogłoby nie spodobać się twojej ukochanej żonie.

Poczula, że oblewa się rumieńcem. Hanif niemal niezauważalnie skinął głową, cofnął rękę.

- Masz rację, Lucy, że jesteś ostrożna. Nic o mnie nie wiesz.

Wiedziała dostatecznie dużo. Wystarczająco dużo, by sądzić go nie po słowach, a po czynach. Teraz wstydziła się swoich wcześniejszych myśli i cieszyła się, że nie wypowiedziała ich na głos.

- Hanif, uratowałeś mi życie. Jestem dla ciebie nikim, a jednak nie szczędziłeś czasu i wysiłku, by się o mnie zatroszczyć. Bo masz dobre serce. - Z desperacją dotknęła swej spuchniętej, poranionej twarzy. - Na pewno nie dlatego, że mogłam ci się spodobać.

Nie zaoponował, darował sobie tani komplement.

- Przybycie Amirah i Fathii, jej opiekunki, było dla mnie zaskoczeniem, podobnie jak twoje. - Nieprzyjemnym zaskoczeniem, skomentowała w duchu. - Przyleciały wczoraj po południu. Jak sama miałaś okazję się przekonać, Fathia ma z małą pełne ręce roboty.

Domyślała się, że Hanif rzadko komu się tłumaczy. Intuicja podpowiadała jej, że z jego strony to więcej niż zwykła uprzejmość.

- Ona nie mieszka z tobą? - zapytała, jakby prowadzili zwyczajną rozmowę. I tylko lekkie drżenie jej głosu zdradzało napięcie. - Mam na myśli twoją córeczkę.

- Mamy tu tylko ten pawilon przystosowany do goszczenia wymagającej żony i domek myśliwski dla jej męża. Dla dziecka brakuje tu miejsca. Amirah mieszka w stolicy ze swoją babcią. - Podniósł się, chyba uważał temat za zamknięty. Uśmiechnął się z przymusem. - Podejrzewam, że kiedy moja matka dowiedziała się, że przywiozłem tu młodą cudzoziemkę, w te pędy wyprawiła tu Amirah jako przyzwoitkę.

- Gdyby twoja matka zobaczyła, jak wyglądam - z uśmiechem rzekła Lucy - od razu by wiedziała, że nie ma czym się przejmować.

- Faktycznie. Miejmy nadzieję, że Fathia szybko jej o tym doniesie.

No, pięknie!

Gdyby był dżentelmenem, nigdy nie przyznałby jej racji.

- Coś mi się widzi, że ratując mnie, tylko ściągnąłeś sobie na głowę kłopoty.

- *Masz'Allah* - skwitował, podając jej kule. Trzymał się blisko, lecz nie narzucał się z pomocą.

- Jak Allah da? - zapytała, przechodząc z balkonu do pokoju. Popatrzyła na Hana.

- Uczyłaś się arabskiego? - zainteresował się.

- Kupiłam sobie płyty do nauki. Myślałam... - Urwała. Chciała zrobić niespodziankę Steve'owi, poznać podstawy języka, by pomóc mu w prowadzeniu biznesu. - To było bez sensu.

- Samemu trudno się nauczyć, ale przez cztery tygodnie na pewno zrobisz postępy.

- Cztery tygodnie?

- Pytałaś, jak długo będzie goić się twoja kostka. Rozmawiałem z lekarzem. Powiedział, że trzy-cztery tygodnie.

- Aha, rozumiem. Dzięki, ale nie będę tak długo nadużywać twojej gościnności. Obiecałam, że wyniosę się stąd najpóźniej za kilka dni.

- Nie miej skrupułów. Możesz tu zostać, jak długo chcesz. Poza tym jak sobie poradzisz w Anglii, sama, w zimnym domu?

- Wcale nie jest tak zimno.

- W Anglii zawsze jest zimno. - Najwyraźniej przyjął jej milczenie za oznakę zgody, bo ciągnął: - Lucy, zostaniesz tu, póki całkiem nie wyzdrowiejesz. - Po chwili dodał: - Albo póki twój mąż się po ciebie nie zgłosi.

Zaniósł krzesło do łazienki, postawił przy umywalce.

- Usiądź. Postaram się za bardzo cię nie zamoczyć - rzekł, odkręcając wodę.

- Nie musisz tego robić. Na pewno sama dam sobie radę. Nie przejął się. Sprawdził temperaturę wody. A może testował, czy zapewnienia Lucy, że jej nie uraził, były szczerze.

Usiadła, odgarnęła włosy do góry. Nie przyszło jej to łatwo.

- Zostaw, ja to zrobię.

Zignorowała go. Przecież nie jest niesprawna. Dzień, góra dwa, i wróci do formy. Opuści jego gościnne progi, aczkolwiek perspektywa pozostania była kusząca. Przyjemnie być traktowaną jak księżniczka i niczego nie musieć.

Jednak nic z tego. Ma rachunki do popłacenia, musi zacząć zarabiać na życie, rozwieść się z mężem.

Han okrył jej ramiona ręcznikiem.

- Woda nie jest za ciepła? - zapytał.

Zręcznie umył jej włosy, nałożył odżywkę, rozczesał. Musiał mieć w tym dużą wprawę, bo szybko mu poszło. Pewnie zajmował się żoną, gdy sama nie była w stanie już tego robić.

Zaskakiwał ją. Choć cóż mogła powiedzieć na ten temat? Nie miała żadnego doświadczenia w tej mierze. Nawet bez złośliwych przytyków koleżanek babci wiedziała, że nie jest dziewczyną, która podoba się mężczyznom. Nawet gdyby kogoś poznała, nie zainteresowałyby go. Dopiero gdy odziedziczyła po babci dom i na progu niespodziewanie objawił się Steve...

Hanif był z innego świata. Nie miała żadnego prawa, by go oceniać. Ani jego sposobu życia, ani tego, jak ją traktował.

- Gdy byłam małą, mycie głowy było dla mnie torturą - wyznała. - Nawet nie samo mycie, ale rozczesywanie. Babcia czesała mnie ostrym grzebieniem, a była bardzo niecierpliwa.

- Ja będę ostrożny - zapewnił, delikatnie rozczesując mokre pasma. - U Europejki takie długie włosy to rzadkość.

- Babcia należała do dogmatycznej sekty, która ścinanie włosów uważała za grzech. Gdy byłam małą, zaplatała mi ścisłe warkocze. Okropnie mnie ciągnęły. W końcu wzięłam nożyce i je ścięłam. - Pokazała palcami.

- Co na to babcia? Była zła?

- Nie była zadowolona - potwierdziła wymijająco. Dostała wtedy niezłe lanie, lecz nigdy nikomu o tym nie pisnęła. - Nie byłam grzecznym dzieckiem.

- Dzieci nie muszą być grzeczne, mają być dziećmi. Nie miałaś mamy?

- Gdzieś tam była.

Za późno ugryzła się w język. Zwykle na takie pytania odpowiadała, że jej mama zmarła dawno temu. To było dla niej łatwiejsze do przełknięcia niż prawda. Jednak nie mogła zmusić się teraz do kłamstwa, bo jego córeczka też nie miała matki.

- Nie znałam jej. Porzuciła mnie. Zostawiła swojej matce, a sama zniknęła. - Nie miała do niej żalu o to, że uciekła. Nie mogła jednak wybaczyć tego, że porzuciła dziecko.

- Miała szesnaście lat, była panną.

Przebiegło jej przez myśl, że Han pewnie się obruszy. Może podświadomie chciała go zaszokować, uzmysłowić mu, jak wyjątkową kobietą była Nur. Gdyby jej matka miała choć odrobinę jej miłości i współczucia...

- W krajach zachodnich dziewczęta nie są pilnowane przez ojców - zareplikował, nie łapiąc aluzji lub świadomie ją ignorując. - Ubierają się wyzywająco, wychodzą same. Nic dziwnego, że dochodzi do takich sytuacji.

- Może i tak. Jej ojciec, a mój dziadek, zmarł, gdy miała czternaście lat. Może byłoby inaczej, gdyby żył dłużej.

- Może babcia nie stałaby się dewotką, może mama by się tak nie buntowała...

- Nie miał braci?

- Braci?

- U nas - zaczął wyjaśniać - kiedy człowiek umiera, jego brat automatycznie przejmuje opiekę nad jego rodziną. On odpowiada za dzieci, staje się mężem dla wdowy.

Zmarszczyła brwi, popatrzyła na niego podejrzliwie.

- W sensie dosłownym? Nawet jeśli sam już jest żonaty?

- Kobieta ma swoje potrzeby - odparł. - Potrzebuje czułości, kogoś przy sobie, również kontaktów fizycznych. To jej się należy, więc nowy opiekun musi jej to zapewnić.

- Nigdy nie postrzegałam tego w taki sposób - przyznała.

- Macie inne zwyczaje, inną tradycję. To mąci obraz - rzekł poważnie, jakby w jej słowach doszukał się czegoś więcej niż lekkiej ironii.

Skończył rozczesywanie, przesunął krzesło na słońce.

- Uważasz, że mężczyźni chodzi jedynie o własne przyjemności. Że taki układ uwłacza kobiecie.

- Bycie żoną numer dwa? - Jej to by z pewnością nie odpowiadało, jednak wolała powstrzymać się od komentarza.

- Ten zwyczaj wywodzi się z dawnych czasów, gdy mężczyźni często ginęli w boju - rzekł Hanif. - To wcale nie jest łatwe.

- Nie?

- Ludzie z Zachodu widzą to bardzo jednostronnie, kręci ich myśl, że mężczyzna ma dwie czy trzy żony. Prawda jest taka, że to nakłada na niego masę obowiązków. Każda żona musi być traktowana tak samo. Czyli nie możesz obdarować czymś tylko jednej, niezależnie czy to świecidełko, sukienka czy meble. Każda musi dostać to samo.

- Przyjemności kosztują.

- To cię śmieszy?

- Jeśli liczysz, że okażę współczucie, to nic z tego.

- Nie chodzi o współczucie, a o zrozumienie. Zdajesz sobie sprawę, jakie byłoby życie samotnej kobiety obciążonej dziećmi? Kiedyś państwo nie było opiekuńcze, wdowa była skazana wyłącznie na siebie. Zresztą i teraz wystarczy przejrzeć gazety czy włączyć telewizor, rzeczywistość jest przerażająca.

- Och. - Przełknęła ślinę. - Rozumiem.

- W dzisiejszych czasach coraz rzadziej się zdarza, że ktoś ma więcej niż jedną żonę - dokończył, jakby chciał dodać jej otuchy.

- Jasne - powiedziała prowokująco. - W społeczeństwie konsumpcyjnym to byłoby nadzwyczaj kosztowne.

- I fizycznie wyczerpujące. - Uśmiechnął się lekko. - Jak już mówiłem, każdą należy obdzielać sprawiedliwie.

- W Anglii - zaczęła pośpiesznie, by pokryć rumieniec - prawo nigdy nie dopuszczało wielożeństwa. Poza tym mój dziadek nie miał braci. Zostałam tylko ja i babcia. Niedawno zmarła i zostałam tylko ja.

- Współczuję. Nie szukałaś matki?

- Po co? Gdyby chciała mnie widzieć, wiedziała, gdzie jestem. - Ileż razy o tym marzyła! Że mama po nią przyjedzie, zabierze do swojego domu, kupi jej śliczne ubranka i wyprawi urodziny w miejscowym barze z hamburgerami, tak

jak inni rodzice swoim dzieciom. - Byłam w tym samym miejscu, w którym mnie zostawiła.

- Może miała wyrzuty sumienia, wstydziła się?

- Nie wierzę, by choć raz o mnie pomyślała. Popatrzył na nią uważnie, ale darował sobie komentarz.

- A twój mąż? Nie myśli o tobie? Nie zastanawia się, gdzie jesteś?

Pożałował tych słów, jednak już nie dało się ich cofnąć. Zaproponował jej gościnę, o nic nie pytając, nie dyktując warunków. Nie powinien stawiać jej w niezręcznej sytuacji. Widział, że gorączkowo szuka odpowiedzi. Czyli coś jest nie tak. Jest gotów zrobić wszystko, by wypłacać ją z ewentualnych kłopotów w Ramal Hamrah, jednak jej prywatne sprawy nie powinni go obchodzić.

- Wystarczy - zarządził, wstając. - Słońce praży zbyt mocno, a ty masz delikatną skórę. Lepiej posiedź w pokoju, tam będzie ci lepiej.

- Myślałam, że będzie bardziej gorąco - odezwała się, wdzięczna mu za zmianę tematu. - Gdy wylądowałam, był okropny skwar.

- Na wybrzeżu o tej porze roku jest trudno wytrzymać, przede wszystkim z powodu wilgoci. Tu, na płaskowyżu, jest chłodniej, ale i tak trzeba uważać.

Wiatr od gór jest zwodniczy, nie czujesz upału.

Podał jej kule i pomógł przejść do saloniku obok sypialni.

- Zahir, dostałeś rzeczy pani Forrester? Ze szpitala.

- Tak, ale nie nadają się do użytku. Pielęgniarki musiały rozciąć na niej ubranie. Dali jeszcze to. - Wręczył Hanowi kopertę. Był w niej tylko zegarek.

- Pojedź do szpitala i spytaj, czy nie miała obrączki. A gdy już będziesz w Rumaillah, kup dla niej trochę ubrań.

- Ja? - wykrztusił nieswoim głosem.

- Spisz rozmiary z tych zniszczonych rzeczy - poradził Han, wskazując na stosik porwanych fatalaszków.

- Mam kupować damskie ubrania? I bieliznę?

- Nie masz lekkiego zadania. - Zlitował się nad Zahirem. - Może ktoś z rodziny cię wyręczy. Jak ładnie poprosisz.

- Żartujesz? Mam prosić siostry o pomoc w zakupach damskiej bielizny? Dopiero bym dostał po uszach!

- Czyli i tak, i tak niedobrze.

- Wiem. Powiem im, że to dla ciebie, wtedy natychmiast się zgodzą. To jest myśl. One pobuszują po sklepach, a ja przyjrę się dokładniej tej agencji. Może coś wywęszę.

- Masz jakiś pomysł?

- Codziennie robią wycieczki po wydmach, a na zakończenie jest przyjęcie na pustyni. Mam ciuchy ze studiów w Stanach. Udam turystę i wkręcę się na taki wyjazd. Zyskam okazję, by pogadać z ludźmi - rzekł żarliwie. - A łupy od moich sióstr wyślę helikopterem.

Wydało się jej, że słyszy warkot helikoptera. Sięgnęła po kule, by pokuśtykać do okna. I wtedy w drzwiach mignęła jej twarzyczka Amirah. Mała natychmiast się wycofała, ale nie rzuciła się do ucieczki. Gdy Lucy zawołała, odpowiedział jej chichot.

- Lucy - powiedziała. - Nazywam się Lucy.

- Lucy - powtórzyła dziewczynka, nadaj kryjąc się za drzwiami.

Lucy nie odpowiedziała i po chwili zza framugi wysunęła się buzia dziecka. Oczka dziewczynki błyszczały, w potarganych ciemnych loczkach kołysały się rozwiązane wstążki.

Upewniła się, że Lucy nie krzyczy ani nie sięga po dzwonek, i chyłkiem wsunęła się do pokoju.

Bose stópki były pokryte błotem, kosztowna sukieneczka z kremowego jedwabiu przedstawiała obraz nędzy i rozpacz, ubłocona i mokra dołem, porozrywana w kilku miejscach, jakby jej właścicielka przedzierała się przez cierniste krzaki.

Najwyraźniej znowu wymknęła się opiekunce. Ta mała to żywe srebro. W dodatku nie ma tu innych dzieci, nikogo do zabawy. Pewnie jest wynudzona jak mops.

Przypominała sobie arabskie słówka, lecz żadne z nich nie pasowało do okazji. Przesunęła się więc na kanapie, by zrobić miejsce, i poklepała zapraszająco.

Amirah nie skorzystała z zaproszenia, ale powolutku przesunęła się dalej i po chwili usiadła na sofie. Machając nóżkami, z napięciem wpatrywała się w Lucy.

Lucy siedziała cierpliwie, nie uśmiechała się. Wreszcie doczekała się nagrody. Amirah podciągnęła sukienkę i pokazała kolorowy siniak.

- Uch! - współczująco jęknęła Lucy.

Amirah kiwnęła główką, dotknęła palcem oka, a potem wskazała na Lucy i powiedziała:

- Uch!

Lucy roześmiała się.

Ośmielona Amirah ześlizgnęła się z sofy i zrobiła kilka kroków. Jej uwagę przykuła szyna usztywniająca kostkę Lucy. Pochyliła się, dotknęła jej delikatnie, a potem wyciągnęła szczupłe ramionko i pokazała małe rozcięcie.

Lucy odpowiedziała przejętą miną i z sykiem wciągnęła przez zęby powietrze, okazując w ten sposób współczucie.

- Jak to sobie zrobiłaś, Amirah? - zapytała po angielsku.

Mała wypuściła z siebie potok arabskich słów. Lucy żadnego nie zrozumiała. Podniosła ręce i pokręciła głową a dziewczynka zaczęła wyjaśniać na migi, wydając odpowiednie dźwięki. Efekt był tak zabawny, że Lucy zasłoniła dłonią usta.

Amirah, bardzo zadowolona z siebie, wybuchnęła śmiechem. Naraz odwróciła się, bo ktoś zaczął ją wołać. Dziewczynka opadła na podłogę i na czworaka wczołgała się pod kanapę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Opiekunka Amirah zatrzymała się w otwartych drzwiach, popatrzyła na Lucy.

- Przepraszam, pani. Szukam dziecka, Amirah.

- Jeśli ją zobaczę, zadzwonię - odparła Lucy. Podniosła palec do ust, pokazała na kryjówkę dziewczynki i delikatnie poklepała miejsce na kanapie, milcząco oznajmiając, że chętnie zatrzyma tu małą.

Kobieta uśmiechnęła się, skinęła głową i zniknęła. Lucy zajrzała pod kape przykrywającą kanapę.

- No już, Amirah, możesz wyjść.

Mała wysunęła głowę, rozejrzała się i uśmiechnięta od ucha do ucha wskoczyła na kanapę.

- Lucy - powiedziała, dotykając jej ręki.

- Amirah - rzekła Lucy, dotykając policzka dziecka. Obie uśmiechnęły się do siebie.

Amirah wskazała na dzbanek z wodą, powiedziała coś. Lucy domyślnie podała jej szklankę. Dziewczynka, chichocząc, kilka razy powtórzyła „proszę”, wypila wodę, odstawiła szklankę i pobiegła do wyjścia. Już przy drzwiach odwróciła się, dygnęła.

- *Szukran*, Lucy.

- *Afwan*, Amirah. *Ma'as salamah*.

Dziecko roześmiało się, zawołało coś i wybiegło.

Lucy starała się przypomnieć sobie, co to znaczyło. W końcu się domyśliła. „Do zobaczenia”.

Sięgnęła po dzwonek, a gdy w drzwiach wyrosła opiekunka, pokazała kierunek, w którym pobiegła jej podopieczna.

Hanif usłyszał dźwięk dzwonka. A już myślał, że Lucy nigdy z niego nie skorzysta. Kto wie, może jednak nie są jej obce arystokratyczne ciagotki, tylko maskuje je powściągliwością? A może rzeczywiście jest w potrzebie? Nie tracił już czasu na zastanawianie.

Lucy siedziała nieruchomo, na jej twarzy malował się łagodny uśmiech. Zgasł, gdy tylko ujrzała Hana.

- Och... Han.

- Zaskoczyłem cię? Dzwoniłaś.

- Tak, ale...

- Ale?

Ale to nie jego wzywała, domyślił się w jednej chwili. I teraz gorączkowo kombinowała, jak się wykręcić.

- Ale nie spodziewałam się, że tak szybko przyjdiesz. Mówiłeś, że dopiero ktoś cię wezwie.

- Lucy, nie jesteśmy w pałacu. To jest niewielki pawilon, miejsce na lato. Letni domek.

- Uhm. Tak jak Camp David czy Balmoral - zakpiła. Nagle ją tknęło, że być może nigdy nie słyszał o tych miejscach. - Balmoral to szkocki dom królowej Elżbiety. Nasza rodzina królewska spędza tam wakacje.

Nie miał zamiaru zdradzać, że nie tylko słyszał, ale sam kilka razy był w tym miejscu.

- Lucy, nie drwij. W Rawdah al-Arusah nie ma więcej jak dwanaście pokoi.

- Tylko dwanaście? No nie.

Nabija się z niego. Czyli szybko wraca do zdrowia.

- No, góra piętnaście - uściślił.

- Dla mnie to miejsce jest niesamowite. - Potoczyła wzrokiem po ręcznie malowanych kafelkach, meblach obitych kosztownymi tkaninami. - Piękne.

- Zostało zbudowane dla księżnej. Jedynym mężczyzną, jaki miał tutaj prawo wstępu, był jej mąż.

Lucy obląła się rumieńcem.

- Chcesz powiedzieć, że to był harem?

- Twoje wyobrażenie jest bardzo dalekie od rzeczywistości. To była cytadela. Miejsce, do którego bez zgody księżnej nikt nie mógł wejść.

- Nawet jej mąż?

- Nawet jej mąż.

- Naprawdę? - Jej zdumienie rozbawiło go. - W takim razie gdzie on tu mieszkał?

- W domku myśliwskim, nieco na uboczu, z dala od pawilonu. Tam było miejsce dla niego i towarzyszących mu mężczyzn. Ja też tam się zatrzymywałem, dopóki Nur nie podupała na zdrowiu. Wtedy przenieśliśmy się do pawilonu, by być w pobliżu.

Poczuła ucisk w żołądku. Sama nie wiedziała, dlaczego. Może dlatego, że oczami wyobraźni ujrzała piękną Nur wzywającą go do siebie. Wystrojoną w jedwabne szaty, z lśniącymi włosami, gotową na wszystko, by ucieszyć męża. Zapraszała go na ucztę, rozweselała, roznamiętniała, aż tracił panowanie nad sobą...

- Lucy, dobrze się czujesz? Otrząsnęła się, przełknęła ślinę.

- Tak. Bardzo dobrze. - Zawahała się. - I zamieszkałeś potem tutaj.

- Cenię spokój. I nie zawracam głowy mojej rodzinie.

Martwili się o niego, domyśliła się. Dlatego pozostał na pustyni. By nie byli świadkami jego rozpacz...

- Czym się tu zajmujesz?

- Wyprawiam się na pustynię z sokołami, szkolę je. Odwiedzam tutejsze plemiona, sprawdzam, czy niczego im nie brakuje. Poza tym ogród wymaga opieki.

- Chcesz doprowadzić go do wcześniejszego stanu?

- Do wcześniejszej doskonałości? To niestety jest niemożliwe. Ale niektóre rzeczy wymagają pilnego remontu. System nawadniający zaczyna się sypać, jeśli się go nie naprawi, ogród zginie. Mam tutaj bibliotekę. Jak widzisz, nie brak mi zajęć. Nie narzekam na nadmiar wolnego czasu.

- A jeszcze jakaś niezbyt rozgarnięta kobieta niemal zabija się przed twoim domem.

- Życie jednej kobiety jest więcej warte niż ogród czy praca i zgłębianie wiedzy.

- Prowadzisz tu studia? Pracujesz? Przepraszam, że ci przeszkodziłam...

- Tłumaczę na francuski i angielski utwory jednego z naszych poetów. Jak sama widzisz, nie szczególnie pilnego.

- W takim razie sam jesteś poetą. - Nim zdążył zaprzeczyć, rzekła: - Nie chodzi jedynie o przetłumaczenie słów, liczy się przesłanie, rytm, melodia.

- Mówisz, jakbyś sama miała z tym do czynienia.

- Bardzo chciałam studiować francuską literaturę.

- I co?

- Babcia uważała uniwersytet za siedlisko grzechu, bała się, że zejdem na złą drogę. Zbuntowałam się, wyjechałam z domu. Tak ją to zdenerwowało, że dostała ataku serca, a potem udaru. Nie miała nikogo poza mną, więc musiałam się nią zaopiekować.

- Przyszło jej drogo zapłacić za stawianie na swoim.

- Nie tylko jej. Nam obu.

- Potem coś przeszkodziło ci w pójściu na studia?

- Myślałam o tym, ale nagle pojawił się Steve Mason i uniwersytet znów stał się nierealnym marzeniem.

- Bo wyszłaś za męża? Ten Steve Mason to twój mąż?

- Tak. Znasz go?

- Nie. Zdziwiło mnie tylko, że nie wspomniałaś jego imienia.

- To długa historia, Han, a ty masz swoje zajęcia.

- Nawet poeci robią sobie przerwy na kawę - zareplikował, choć jej mąż i jej małżeństwo były ostatnimi rzeczami, o jakich chciał rozprawić. Sięgnął po telefon stojący obok kanapki, przy tym ruchu spostrzegł ciemne smugi błota na różowym obiciu poduszki. A więc tajemnica się wyjaśniła. Amirah znowu tu była, a Lucy wołała zachować to w tajemnicy.

Zamówił kawę, odwrócił się i usiadł na wprost Lucy.

- To co, Lucy, wypoczęłaś i masz ochotę obejrzeć ogród?

Zaskoczył ją zmianą tematu.

- Słucham?

- Domyślałam się, że po to mnie wezwałaś.

Gorączkowo myślała, jak uchronić Amirah przed gniewem ojca, nie miała też ochoty opowiadać mu żalostnej historii swego małżeństwa, uchwyciła się więc jego sugestii jak tonący brzytwy.

- Tak, marzę o wyjściu na świeże powietrze. Poczytać sobie w cieniu. - Popatrzyła na niego. - Mogę cię o coś zapytać?

- Co cię dręczy?

- Jak dowiedziałeś się mojego adresu? Po wypadku byłam trochę przymulona, ale na pewno nie podałam tych danych w szpitalu. Ani danych do ubezpieczenia. - Han nie odpowiedział od razu. Jednak nie chciała, by ją zbył.

- Sam powiedziałaś, że wszystko spłonęło w pożarze.

- Tak było. - Przywitał służącego wnoszącego kawę, potem sam napełnił jej filiżankę i podsunął talerzyk z ciasteczkami.

- Spróbuj, są naprawdę dobre. Z naszych migdałów.

Nie przepadała za słodyczami, lecz wzięła jedno ciasteczko i odgryzła kawałek.

- Han, skąd znałeś mój adres?

- Kiedy przywieźliśmy cię do szpitala, byłaś w szoku, traciłaś przytomność. Niewiele można się było od ciebie dowiedzieć. Szukaliśmy twoich znajomych. Mój współpracownik zaczął od agencji Bouheira Tours, a

gdy nic z tego nie wynikło, przepytął pograniczników na lotnisku. Jeden z nich cię zapamiętał.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Twoje włosy zapadły mi w pamięć.

- Och. - Zwykle splatała je w warkocz lub upinała w koczek, ale tamtego dnia była tak zdenerwowana, że palce odmawiały jej posłuszeństwa. Poprzestała więc na zwykłej spince. - Twój współpracownik?

- Zahir al-Khatib. Mój kuzyn. Dziś rano pojechał do Rumaillah.

- Dowiedzieć się czegoś więcej?

- Kupić ci trochę ubrań. A raczej zlecić to swoim siostrze.

Przypuszczała, że celowo o tym powiedział, by uchylić się od dalszych pytań. Może liczył, że zacznie się opierać, stanowczo zaprotestuje, by ktoś robił dla niej zakupy. Darowała to sobie. Zdążyła już go poznać i wiedziała, że i tak postawi na swoim. Zresztą, potrzebuje nowych ciuchów, jeśli nie chce wracać do Anglii w nocnej koszuli po jego żonie. Ale na pewno nie przyjmie ich w prezencie.

- Miałam ubezpieczenie podróżne. Powinno pokryć wydatki na wymianę zniszczonej garderoby.

- Tak myślisz? Jeśli ubezpieczyciel się dowie, że jechałaś skradzionym samochodem, to raczej odmówią wypłaty odszkodowania.

Och, zupełnie o tym nie pomyślała.

- Skoro w Bouheira Tours twierdzą, że żaden samochód im nie zginął, to nie powinno być problemu. Zapłacę za ubrania.

Widziała, że chciał coś powiedzieć, ale nie zrobił tego. Na pewno zdawał sobie sprawę, że nawet w Anglii taka sytuacja byłaby co najmniej dwuznaczna. Obcy mężczyzna kupujący stroje mężatce... W tych stronach za coś takiego pewnie płaciło się głową. Choć Han już dawno przekroczył wszelkie zakazy, jeszcze nim odebrał ją ze szpitala. Nie wiedział, że jest mężatka, ale to żadne tłumaczenie.

Na szczęście raczej nic mu nie grozi. Steve z pewnością nie rzuci mu wyzwania - chyba że zwęszy jakieś pieniądze.

- Miałam też czeki podróżne. - Nie było ich wiele. Nie stać jej było na ekstrawagancję. A teraz... - I bilet powrotny. Jak sądzisz, wystawią mi duplikat?

- Podaj mi maksymalnie dużo danych, a Zahir spróbuje coś wywalczyć.

- Ten sam Zahir, który zdobył mój adres? Sprawnego masz współpracownika.

- Ludność Ramal Hamrah nie jest liczna. Urzędnicy emigracyjni go znają.

- To wystarczy? W Anglii możesz znać urzędnika, ale to nie znaczy, że masz dostęp do poufnych danych.

- Nie jesteśmy w Anglii, a w Ramal Hamrah.

Kraj czerpiący bogactwo z ropy, siedziba zagranicznych banków, miejsce gwałtownie rozwijającej się turystyki. Bardzo obcy kraj. Gdzie małżeństwa są aranżowane, mężczyzna może mieć więcej niż jedną żonę, a córki są źle widziane.

- Skoro znają twojego kuzyna, to pewnie i ciebie. Twoje nazwisko wydaje mi się znajome.

- Pochodzę ze starej rodziny.

Niewiele jej to wyjaśniało. Te długie imiona i nazwiska miały swoją wymowę. Syn pierwородny dostawał imię po ojcu...

- Ty nie jesteś najstarszym synem. Wtedy nazywałbyś się Khatib bin Dżamal bin coś tam.

- To imię mojego najstarszego brata - potwierdził. - Jestem trzeci z kolei - zlitował się wreszcie. - Pokażę ci zdjęcie mojego ojca, może wtedy zrozumiesz.

Rodzinne zdjęcie? Serce jej zabiło.

- Chętnie zobaczę.

Wezwał siedzącego w przedpokoju służącego, zlecił mu coś. Mężczyzna wrócił i pokazał Hanifowi kolorową kartkę, a gdy ten skinął głową w stronę Lucy, skłonił się i podał ją jej.

- To tutejszy banknot - zdziwiła się. - Setka.

Han nic nie odpowiedział. Zaintrygowana, obejrzała banknot ponownie, odwróciła go na drugą stronę. Widniał tam wizerunek emira.

- Och! - Teraz już sobie przypomniała. Widziała ten portret, gdy przeglądała strony w internecie. - Ale się wygłupiłam. Nie powinnam zadawać takiego pytania. Czemu wcześniej mi nie powiedziałeś?

- Bo to nie było istotne. Dowiedziałaś się tylko dlatego, że zaczęłaś tego dociekać. Nie musisz się niczego obawiać. Zahirowi udało się zdobyć te informacje tylko dlatego, że robił to dla mnie. Nikt inny niczego się nie dowie.

- Nikt nie będzie mnie szukać. Przykro mi to mówić, ale Steve nie objawi się tutaj...

Przez chwilę sądziła, że zaraz weźmie ją na spytki.

- Skoro tak, to tym ważniejsze jest dla ciebie poczucie, że jesteś tu bezpieczna.. Możesz liczyć na troskę i opiekę. Jak tylko wydobrzejesz, Zahir zabierze cię do twojej ambasady, a kiedy dostaniesz papiery, zorganizuje ci wyjazd lub pobyt tutaj, jeśli zechcesz.

- Dlaczego to dla mnie robisz? - Nie da się zbyć odpowiedzią, że tak nakazuje mu gościnność. Zrobił dla niej znacznie więcej niż dla cudzoziemca w potrzebie. - Nie musiałeś osobiście się angażować, Han... - Urwała, zdawszy sobie sprawę, że zwraca się tak poufale do syna emira, lokalnej osobistości. - Mogłeś zlecić to Zahirowi. Albo od razu przekazać mnie ambasadzie.

- Owszem - potaknął. - Mogłem to zrobić.

- W takim razie czemu mnie tu przywiozłeś? Nie musiałeś osobiście się mną zajmować.

- Możliwe - odparł po długim milczeniu. - Może tego potrzebowałem.

Otworzyła usta, zamknęła je. Pytania, które już miała na końcu języka, wydały się jej niedelikatne. Patrzyła na jego zmarszczone czoło i instynktownie czuła, że to wyznanie również dla niego było zaskoczeniem. Ciekawe, że

intuicja, która ją tak zawiodła w stosunku do Steve'a, teraz podpowiadała jej, że ten pustynny władca przeżywa chwile załamania i zwątpienia.

Odwróciła się taktownie. Sięgnęła po ciasto.

Han podniósł się i wyszedł. Lucy dopiero wtedy wypuściła wstrzymywany oddech. Ręce jej drżały.

- Gotowa?

Podniosła głowę. Han stał na progu, pchał przed sobą wózek inwalidzki.

- To niepotrzebne - zaproponowała. - Spokojnie sama pójde.

- To za daleka droga. Weźmiemy kule i gdy już dotrzemy na miejsce, będziesz mogła samodzielnie pozwiedzać ogród.

- Tak mówisz? - Miała wyrzuty sumienia. Nie tylko dlatego, że okłamała go, potwierdzając, że chciała posiedzieć sobie w ogrodzie, choć teraz naprawdę to ją kusilo. Również dlatego, że ten wózek wyglądający na ostatni krzyk techniki z pewnością nie został pożyczony ze szpitala, a służył jego żonie, gdy już nie mogła chodzić.

- Na pewno? - zagadnęła go. - Nie chciałabym odrywać cię od pracy.

- Kraje Zachodu czekały cztery wieki na odkrycie mojego poety, więc godzina czy dwie nie zrobią różnicy.

Zamilkła, by nie pogarszać sytuacji. Pomógł jej wstać i przejść na wózek. Odgarnęła włosy na jedną stronę.

- Zahir pewnie nie kupi mi spinek - zagaiła. - Zwykle upinam włosy.

Dostałeś moje rzeczy ze szpitala? Powinna być tam duża spinka.

- Nic się nie uratowało.

- No cóż. Jak tylko wrócę do domu, zetnę je na krótko.

- Dlaczego? - Mógł zrozumieć, że jako dziecko nienawidziła warkoczy, ale czemu dorosła kobieta chce pozbawiać się takiej ozdoby?

- Przeszkadzają mi. Po pogrzebie babci omal już ich nie skróciłam. -

Chciała je ściąć nawet przed pogrzebem, by zaszokować te zrzęдлиwe staruchy,

które tak uprzykrzały jej młode lata. Póki nie postawiła się, że będzie tylko przyprowadzać babcię do kościoła i po mszy zabierać ją do domu.

- Babcia chyba nie mogła ci tego zakazać?

- Nie. Prawdę mówiąc, spodziewała się, że to zrobię. - Tak jak spodziewała się, że wnuczka zostawi ją na pastwę losu. To byłby dowód jej niewdzięczności. - Ale gdy przejęłam kontrolę nad domowymi finansami, kupiłam dobry szampon, odżywkę, miękki grzebień. I nosiłam włosy rozpuszczone.

- Żeby ją wkurzyć?

- Powiedziałaś ci już, że nie byłam grzeczna.

- No tak. - Ujął pasmo jej włosów, wypuścił je powoli, tuż przed jej twarzą. Lśniły bladym złotem. - Nie obraż się, ale uważam, że w jakimś stopniu robiłaś to również dla siebie.

Nie odpowiedziała.

- Postaram się o spinki - rzekł, rozwiązując rzemyk przytrzymujący jego długie włosy. Związał nim luźno jej włosy. - Na razie posłużymy się tym.

Żadne z nich się nie odezwało, gdy bogato dekorowaną windą zjeżdżali na parter, a potem mijali wykładane niebieskimi kafelkami arkadowe krużganki. Słońce przeświecało przez liście drzew zwieszających się nad migotliwym kanałem, przyjemne ciepło miło grzało. Lucy aż westchnęła.

- Miałaś rację, Han - zagadnęła, spoglądając na niego. - Anglia w żaden sposób nie może się równać z twoim krajem, wydaje się zimna i odpychająca. Spędziłeś w Anglii dużo czasu?

- Szkołę i studia. Nie zrozum mnie źle. Twój kraj jest piękny, zachwycał mnie. Jednak te deszcze...

- Niestety. Ale dzięki deszczom jest zielono.

- Na początku byłem pod wrażeniem. Biegałem po dworze, wystawiając twarz na krople spadające z nieba.

- Chyba szybko ci to spowszedniało.

Ustawił wózek w cieniu przy rozległym letnim domu obok wielkiego basenu, na stoliku obok położył oprawioną w skórę książeczkę.

Lucy sięgnęła po nią, otworzyła ją.

- Wiersze perskiego poety Hafeza - rzekł Hanif. - Tworzył obrazy ogrodów, by głosić pochwałę miłości we wszystkich jej przejawach.

- Idealna lektura do takiego miejsca. - Podniosła wzrok. - Han, nie musisz ze mną zostawać.

Nie musiał, lecz chyba po raz pierwszy nie wrywał się do swojej biblioteki. O wiele bardziej kusząca była perspektywa towarzyszenia Lucy, zjedzenia z nią lunchu.

- Już i tak zabrałam ci tyle czasu. Nie chcę cię odciągać od pracy.

Nie tylko go odciągała. Poruszyła go. Coś w nim obudziła.

Było w niej coś wyjątkowego. Przyleciała do Ramal Hamrah, by dopaść swego męża. Gniew popchnął ją do kradzieży terenówki, dramatycznego pościgu po pustyni.

Może gdyby ją wziął w ramiona, poczuł dotyk jej ust, to też znalazłby w sobie utracone życie, znów mógłby zacząć swobodnie oddychać, czuć.

- Idź już! - zaśmiała się, przerzucając strony, jakby szukała zdania, które przykuje jej uwagę. - Obiecuję, że nie zrobię niczego głupiego. Nie wpadnę do wody.

Jej śmiech był jak echo dni, które minęły.

To go otrzeźwiło. To tu tyle razy siedział z Nur, czytając jej wiersze, podczas gdy dziecko, które nosiła pod sercem, powoli wysysało z niej życie. Wiedział, że z każdym oddechem Nur oddała się od niego i nic tego nie zmieni, ani władza, ani pieniądze...

- W takim razie zostawiam cię - rzekł raptownie.

Odczekała, aż zniknął, dopiero wtedy podniosła głowę znad książki. Tak trudno było go jej odesłać. Nie mogła tego pojąć. Jak to możliwe, że obecność mężczyzny, którego prawie nie znała, sprawiała, że czuła się wyjątkowa?

Jednak nie powinna poddawać się takim nastrojom, mimo że Steve zawiódł ją i oszukał. Wiedziała o tym, a jednak nie mogła się oprzeć i długo wpatrywała się w ścieżkę wiodącą do pawilonu.

Ważka zawisła w powietrzu, przemknęła nad taflą wody, a Lucy wciąż siedziała zapatrzona, jakby licząc, że Han jeszcze powróci.

Zamiast niego przyszedł młody służący, przyniósł dzbanek wody, sok i kule. Podłączył telefon i postawił go przy wózku. Podał jej kartkę kremowego papieru zapisaną zdecydowanym pismem.

Lucy, jeśli chcesz zadzwonić do domu, wybierz 0; a kiedy włączy się sygnał, wbij kierunkowy. Do Wielkiej Brytanii jest 44. Jeśli czegoś ci będzie potrzeba, naciśnij 1. Han

Westchnęła.

Powinna zadzwonić do agenta nieruchomości, żeby wystawił dom na sprzedaż. Zamierzała kupić coś mniejszego, z centralnym ogrzewaniem i ciepłą wodą. Wstrzymywała się ze sprzedażą, bo ciągle wmawiała sobie, że zaszła jakaś pomyłka, że jeszcze wszystko się wyjaśni.

Jej nadzieje rozwiały się jak dym. Wystarczyła rozmowa w Bouheira Tours i wszystko stało się jasne. Nie mogła już dłużej się łudzić. Pieniędźmi za dom musi spłacić długi, jakie Steve zaciągnął na jej nazwisko. Im wcześniej to zrobi, tym lepiej.

Sąsiadka ma klucze od domu. Powinna się z nią skontaktować, by wpuściła agenta.

Musi zadzwonić do firmy ubezpieczeniowej, by pokryła koszty leczenia i zapłaciła za bagaż.

No i bank. Zobowiązała się, że szybko wszystko wyjaśni. A oni nie będą czekać.

Han niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w biurko. Niewiele brakowało, a zapomniałby tamte dni z Nur, gdy obezwładniała go rozpacz, bo

wiedział, że nie zdoła jej uratować, gdy widział jej strach pokrywany udawaną odwagą.

Nawet niewinny uśmiech do innej kobiety był zdradą. Tak samo jak pomaganie Lucy w przejściu do łazienki, czesanie jej włosów, dotyk jej ciepłego ciała...

Nie miał pojęcia, dlaczego tak reagował na jej bliskość. Posiniaczona twarz, opuchnięte oczy i usta... ktoś taki nie może się podobać.

A jednak nawet teraz tylko czekał, żeby zadzwonił telefon, żeby Lucy coś od niego chciała, żeby miał pretekst, by do niej pójść.

Zły na siebie, odsunął tłumaczenie i wstał.

Postanowił przejść się do stajni, upewnić się, czy jego koń nie ucierpiał po tej szaleńczej jeździe w dół stoku.

Wyszedł z pawilonu, gdy dobiegł go znajomy śmiech. Znieruchomiał. Z kim ona rozmawia? Do kogo dzwoni? Czy to jej mąż tak ją rozśmieszył?

Pamiętał tuman kurzu wzbijany przez jej samochód, gdy jak szalona gnała przez pustynię. Pędziła do męża czy uciekała od niego?

Nieważne. Należy do innego.

Znów usłyszał jej śmiech. I znowu. Nie mógł się powstrzymać. Podeszedł bliżej, kryjąc się w cieniu wiekowego cyprysa. Znieruchomiał. Lucy i Amirah były sobą całkowicie pochłonięte. Patrzył na dziecko. Do tej pory nie mógł się przełamać, by wziąć je na ręce, przytulić do piersi, poznać.

- Broda - powiedziała Lucy, dotykając swojej brody, a potem dotykając jej rączką Amirah.

- Broda - powtórzyła mała i dotykając swojej buzi, wymówiła to słowo po arabsku. Położyła rękę Lucy na swojej brodzie, zachęcając, by powtórzyła arabską nazwę.

Grały w tę najprostszą z gier, nazywając kolejne części ciała po angielsku, a potem po arabsku.

Śmiały się przy tym serdecznie. Ta ujmująca niewinnością radosna scena poruszyła go do głębi. Zacisnął dłoń na skręconym pniu, nie mogąc poradzić sobie z bólem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie była pewna, kiedy spostrzegła jego ciemną sylwetkę skrytą za pnem wiekowego cyprysa. Jeszcze nim go ujrzała, wyczuła jego obecność.

Zmusiła się, by niczego po sobie nie pokazać, nie zawołać go. Skoncentrowała uwagę na Amirah.

Mała szukała kogoś do zabawy, tak ją tu znalazła. Hanif powinien podejść, przywitać się z córeczką, wziąć ją na ręce i przytulić czule.

Sama nigdy nie doświadczyła rodzicielskiej miłości, ale jako dziecko tyle razy widziała takie sceny. Zazdrościła rówieśnikom, gdy ich zachwyceni rodzice tulili do siebie swoje pociechy, bawili się z nimi. Do niej nikt nie przychodził, zawsze była sama. Pamiętała, co wtedy czuła. Dlatego chciała zawołać Hanifa, by podszedł, włączył się do zabawy. Jednak on dystansował się od swego dziecka, ciemnowłosej dziewczynki o czarnych oczach, która przypominała mu wszystko, co utracił.

Zamknął się w Rawdah al-Arusah, odciał od świata. Wciąż była w nim rozpacz, gniew i może też poczucie winy, że nie miał serca dla dziecka, dla którego Nur poświęciła życie.

Teraz też trzymał się z daleka, nie mogąc się przełamać, niezdolny wyciągnąć rękę.

Uważał, że matka przysłała tu Amirah jako przyzwoitkę, ale może jej intencje były zupełnie inne. Może łudziła się, że Amirah przyłgnie do nieznannej młodej kobiety, że ta nowa sytuacja zmieni relacje między jej synem a wnuczką.

Wiele by dała, żeby tak się stało. Przynajmniej w ten sposób mogłaby zrewanżować się za jego szlachetność i dobroć. Ale Han jest zbyt bystry, by nie przejrzał jej gry.

- Jesteś głodna? - Przyciągnęła dziewczynkę do siebie, połaskotała ją po brzuszku. - Co byś zjadła? Kurkę? Hummus? Kozi serek?

Mała, chichocząc wesoło, wiała się w jej rękach, uśmiechając się radośnie.

- Przydałby się nam papier i kredki - powiedziała Lucy. - Wtedy mogłabyś mi narysować, na co masz ochotę.

Han wiedział, że go zauważyła.

Jej zachowanie się nie zmieniło, jednak jej uwaga nie była skupiona wyłącznie na dziecku.

Nie mógł teraz po prostu odejść. Żałował, że od razu nie skręcił do stajni. Teraz nie miał wyjścia.

Wyszedł z cienia. Zamierzał odesłać Amirah do opiekunki, a Lucy odwieźć do pawilonu. Dopiero gdy był bliżej, zauważył Fathię drzemącą na kanapie. Przed laty była jego opiekunką i cenił ją niemal jak własną matkę.

Nie pojmował, czemu mama ją tutaj wysłała. Fathia miała już swoje lata, należał się jej spokój i wypoczynek. Uganianie się za żywą trzylatką było ponad jej siły. Amirah powinna mieć za nianię młodą dziewczynę. Kogoś, kto by się z nią bawił, nie pozwalał na nudę.

Udawał, że nie widzi, jak Amirah nerwowo kryje się za

Lucy. Zadzwoił do kuchni i poprosił, by lunch przyniesiono tutaj.

Odwrócił się, by odejść.

- Nie zostaniesz z nami? - zapytała Lucy.

Przyciągnął go tu jej śmiech i chętnie by został, lecz obecność Amirah przywołała go do rzeczywistości.

- Żałuję, ale muszę iść do stajni.

Fathia mruknęła coś pod nosem po arabsku. Han udał, że nie usłyszał.

Wrócił do gabinetu, zajrzał do szafki, szukając kredek, i natrafił na zakurzone

pudełko pasteli. Dostał je kiedyś od taty. Emir nie mógł wtedy pojechać z rodziną na wakacje i Han codziennie coś dla niego rysował. Te pastele były cenną pamiątką.

Pierwszy krok został zrobiony. Hanif wprawdzie z nimi nie został, lecz przysłał papier i pastele. Po lunchu, gdy słońce zaczęło grzać jeszcze mocniej, Fathia zawiozła Lucy do pokoju i pomogła jej ułożyć się na kanapie. Sama zabrała Amirah, by dziewczynka trochę się przespała.

Były w drzwiach, gdy mała wyrwała się opiekunce, podbiegła do Lucy, wcisnęła jej w dłonie rysunek i czmychnęła do wyjścia.

Popatrzyła na nagryzmołoną kartkę. Tata, niższa od niego mama i mała dziewczynka uśmiechnięta od ucha do ucha. Serce się jej ścisnęło. Naraz usłyszała zbliżające się kroki i pośpiesznie złożyła rysunek. Wsunęła go w tomik wierszy i czekała. To nie był Hanif, a młody służący, który przyniósł dzbanek wody i miseczkę daktyli. Zniżył głowę i odszedł, a ona z ulgą opadła na poduszki i zamknęła oczy.

Kiedy się obudziła, słońce wisiało nisko nad horyzontem. Ziewnęła, przeciągnęła się i usiadła. Przetarła oczy. Niemal cały pokój był zaścielony pastelowymi pudłami i lśniącymi torbami z eleganckich sklepów. Najdroższe marki.

Gdy spała, Hanif zakradł się tutaj, Mikołaj w przebraniu szejka.

Podeksytowana, poderwała się z miejsca i zaczęła przeglądać zawartość pakunków. Jedwabna bielizna, markowe spódnice, wspaniale skrojone spodnie i tradycyjne arabskie szaty: długie, bogato zdobione haftem tuniki i dobrane do nich szerokie szyfonowe szale. Mnóstwo butów i pięknych torebek. Jedna z logo Chanel. To na pewno nie była podróbka.

Było wszystko: kosmetyki, grzebienie, spinki do włosów.

Usiadła na kanapie i przycisnęła do piersi spinkę z kutego srebra.

Pamiętał i o tym?

Z desperacją rozejrzała się po pokoju. Wszystkie rzeczy były po prostu piękne.

I bardzo drogie.

Zastrzegła się, że zapłaci za zakupy, lecz chyba nie uświadomiła mu, że ubezpieczenie zwróci jedynie za podstawowe stroje, z sieciowych sklepów. Choćby harowała do końca życia, nie zdoła spłacić tych rzeczy.

Musi mu to zaraz powiedzieć, nie ma na co czekać. Odłożyła spinę, sięgnęła po kule i pokuśtykała do gabinetu Hana.

Siedział przy biurku, odwrócony tyłem do otwartych drzwi. Miał wzrok wbity w wieczorny horyzont. Lucy zawahała się.

- Lucy, nie przekonam cię do używania dzwonka? - zapytał, nie odwracając się.

- Nigdy. Nie jestem inwalidą. Poza tym muszę się ruszać.

- Zawsze na wszystko masz odpowiedź.

- Tylko odpowiadam na pytanie - zareplikowała. Odwrócił się.

- O co chodzi? Czego chcesz? Cofnęła się o krok. Potknęła się.

- Nie wychodź... - Nie chciał, by odchodziła. Choć powinien. Pomógł jej podejść do kanapy. - Usiądź i mów.

Zawahała się. Nie będzie zadowolony, gdy usłyszy, co ma mu do powiedzenia. Han wciąż czekał. Usiadła ostrożnie.

- Napijesz się czegoś? Kawy, herbaty? Pokręciła głową.

- Chciałam porozmawiać z tobą o tych strojach. Trzeba je będzie zwrócić... - urwała, widząc jego minę.

- Nie podobają ci się?

- Ależ skąd! - Jak mógł ją tak mylnie zrozumieć? - Są śliczne, ale...

- Nie pasują rozmiarem? - Machnął ręką. - To żaden problem.

Wymienimy je.

- Nie! Zwąził oczy, lecz Lucy nie dała się zastraszyć.

- Daj mi powiedzieć. Nie wiem, czy rozmiar jest dobry czy nie, nie mierzyłam ich. - Han milczał. - Nie stać mnie na takie drogie stroje.

- Nie przejmuj się kosztami - rzekł spokojnie. - Nie zakładałem, że zwrócisz mi za te rzeczy.

- Nie mogę ich przyjąć w prezencie.

- Rozumiem. Oczywiście, byłoby niestosowne, by mężatka przyjęła stroje od innego mężczyzny. Wyślę rachunek twojemu mężowi.

- W takim razie dam ci dobrą radę. Nie przyjmuj czeku.

Sięgnęła po kule, lecz nim zdołała się podnieść, Han wziął je od niej i odłożył je na bok.

- Lucy, dlaczego za niego wyszłaś?

Nie poruszyła się, nie odpowiedziała. No bo co na to rzec? Że była bezdennie głupia? Marzyła o miłości, a Steve pojawił się, gdy czuła się samotna i zagubiona. Był dla niej jak tratwa ratunkowa.

Przełknęła łyżę. Wzruszyła ramionami.

- Bo to wydawało się takie proste.

- Proste?

Jak mu to wytłumaczyć?

- Babcia przez całe życie bała się, że będę jak moja matka, że się wykoleję. Może powinnam bardziej się opierać, być bardziej stanowcza. Zbuntowałam się trochę za późno, postanowiłam pójść na studia. - Popatrzyła na Hana.

- Wtedy babcia dostała zawału i było po wszystkim.

- Kiedy zmarła, zostałam sama?

- Tak. Nie wiedziałam, co z sobą począć. I nagle pojawił się Steve.

Znalazłam w nim oparcie.

- Znałaś go?

- Jego rodzina mieszkała w pobliżu, chodziliśmy do tej samej szkoły.

- Już wtedy się w nim podkochiwałam?

- Wszystkie dziewczyny do niego wzdychały. Był wyjątkowym chłopakiem. Świetny uczeń, fantastyczny sportowiec, zawsze w najmodniejszych ciuchach. Miał nawet motor.

- Domyślam się, że wasza znajomość trochę trwała. A babcia była jej przeciwna.

- Prędzej zamknęłaby mnie w piwnicy, niżby pozwoliła mi spotykać się z Masonem. Ale nigdy do tego nie doszło. On nawet nie wiedział o moim istnieniu.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Uwierzyłbyś, gdybyś mnie wtedy zobaczył. Nosłam fatalne ciuchy z lumpeksu, warkocze, zero makijażu.

- Kobieta nie potrzebuje makijażu, by być piękną. Piękno ma się w sobie, wynika z charakteru, z serca.

- Może w to wierzysz, ale gdy masz naście lat i wariujesz ma punkcie osiemnastoletniego palanta, to makijaż jest sprawą pierwszorzędnej wagi. Inaczej odpadasz. Nawet dziewczyny nie chciały się ze mną pokazywać.

- W takim razie już nic nie rozumiem. W jaki sposób wyszłaś za niego za mąż tak szybko, tuż po śmierci babci?

Chciała być taka jak inne. Chciała żyć normalnie, mieć kogoś bliskiego, rodzinę.

- Steve'a nie widziałam od skończenia szkoły. Pojechał na studia, do domu już nie wrócił. Po śmierci babci okazało się, że odziedziczyłam po niej dom. - Popatrzyła na Hana. - Zawsze powtarzała, że przepisze go na kościół. W ostatniej chwili widać zmieniła zdanie, a może bała się, że moja matka wróci i upomni się o należny jej spadek, zakwestionuje testament.

- I wtedy na twoim progu pojawił się Steve. Królewicz i Kopciuszek.

- Żebyś wiedział. Byłam w fartuchu, zamiatałam wejście do domu. - Urwała. - Przechodził ulicą. Zatrzymał się, popatrzył na tablicę, że dom jest na

sprzedaż, potem na mnie. Odezwał się do mnie po imieniu... - Wzruszyła ramionami. - Nie mogłam uwierzyć, że pamiętał, jak się nazywam.

Nie musiała mu nic więcej mówić. Została sama, zdana tylko na siebie. Łatwy łup dla faceta, który od młodych lat zręcznie wykorzystywał kobiety.

Powoli zaczynało mu się wszystko układać. Zniknięcie spalonej terenówki, stanowcze zapewnienia, że Lucy nigdy nie pojawiła się w Bouheira Tours... to powinno bardzo pasować jej mężowi. A to znaczy, że Lucy może znajdować się w realnym niebezpieczeństwie.

Nie wypuści jej stąd, póki nie rozmówi się z jej mężem i uświadomi mu, że Lucy jest pod jego opieką. Zagrozi, że jeśli spotka ją coś złego, odpowie za swoje. Trafi nie do wygodnego nowoczesnego więzienia, lecz do ciemnego lochu w którymś z zapomnianych górskich fortów z dala od turystycznych szlaków.

Z wymuszonym uśmiechem popatrzył na Lucy.

- Czyli królewicz już zaczął grać swojego harleya. I co było dalej?

- Nic szczególnego. Złożył mi kondolencje z powodu babci. Żałował, że nie udało mi się pójść na studia...

Bezwiednie uniosła dłoń. Ten gest mówił więcej niż słowa. Upiła trochę wody, odstawiła szklankę.

- Spytałam go, tak jak ty mnie, co teraz porabia. Odparł, że pracuje w zagranicznym banku, że wysłali go do Ramal

Hamrah, gdzie szybko dostrzegł ogromny potencjał turystyczny. Planował wyprawy w głąb pustyni, zwiedzanie oaz i stanowisk archeologicznych. Zebrał trochę pieniędzy i założył agencję Bouheira Tours.

- Zahir wciąż namawia mnie do turystyki - zadumał się Han. - Czemu Steve oglądał domy, skoro rozwijał działalność tutaj?

- Nieruchomości wciąż idą w górę, dlatego chciał coś kupić i wynajmować.

- Złożył ofertę?

- Nie. Powiedział, że dopiero się rozgląda. Zresztą wiedziałam, że to nie dla niego. Mój dom wymagał sporo pracy, a on wolał coś gotowego, nowoczesnego. Nawet nie wszedł do środka, ale gdy odchodził, zatrzymał się i spytał, czy nie wybrałabym się z nim na kolację. - Uśmiechnęła się. - Nie, nie przyjechał harleyem, a starym fordem matki.

- Kolacja była dobra?

- Nie pamiętam. Rozmawialiśmy przede wszystkim o Ramal Hamrah. Ciekawie opowiadał o twoim kraju, zapraszał, bym go odwiedziła, gdy sprzedam dom. Nie wzięłam tego poważnie.

- Dlaczego?

- No wiesz, to przecież tylko takie gadanie. Powiedziałam, że pomyślę o tym. Steve odwiózł mnie, podziękował za miły wieczór i odjechał. Nie spodziewałam się, że jeszcze go zobaczę.

- Szybko wrócił?

- Jeszcze nie doszłam do sypialni, kiedy zadzwonił i zapytał, czy nazajutrz nie wybrałabym się z nim na oglądanie domów. - Zażenowana swą naiwnością, opuściła wzrok na dłonie. - Z nim wszystko było takie łatwe - wyznała. - Nigdy wcześniej nie byłam na randce, nie miałam pojęcia, jak się zachować, ale przy nim nigdy nie czułam się skrępowana czy zakłopotana. Był zupełnie inny, niż myślałam. Zupełnie inny niż wtedy, gdy chodziliśmy do szkoły. Nadal był wyjątkowo przystojny, dziewczyny oglądały się za nim na ulicy, ale zachowywał się bardzo powściągliwie.

- Nigdy nie ufaj mężczyźnie... - Han urwał.

- Nigdy nie ufaj mężczyźnie, który się do ciebie nie dobiera - dokończyła za niego Lucy, uśmiechając się. Ujął ją tym, że nie chciał wprawić jej w zakłopotanie. - Bo jeśli nie chodzi mu o seks, to co się za tym kryje?

- Przepraszam. Nie powinienem...

- Nie przejmuj się, nie ma sprawy. Życie jest, jakie jest, tylko że mnie oczy otworzyły się później niż innym.

- Jak długo czekał, nim ci się oświadczył?

Nie chciała już dłużej ciągnąć tego tematu, jednak Han miał pełne prawo wiedzieć, w co się wpakował.

- Nie za długo. Powiedział...

Nie, nie miała ochoty wracać do tych uroczych kłamstw, którymi ją otumanił. Machnęła ręką.

Han zrozumiał ją w lot. Nim się spostrzegła, przyciągnął ją do piersi, a ona wtuliła policzek w jego szatę.

- Nie powinienem pytać. To nie ma znaczenia.

- Był taki cudowny. - Popatrzyła na niego. - Powiedział, żebym nie sprzedawała domu, że zrobimy to razem po powrocie z Ramal Hamrah, że pomoże mi uzyskać lepszą cenę.

- Przyjaciel w potrzebie.

- Po raz pierwszy w życiu myślałam, że komuś na mnie naprawdę *zależy* - wyznała. - Martwiłam się, jak sobie poradzę. Nie miałam doświadczenia, pracy, pieniędzy. Skromna emerytura babci i mój zasiłek opiekuńczy ledwie wystarczały na przeżycie. Gdy umarła, zostałam na lodzie.

Nie zamierzała mówić mu o dodatkowej emeryturze, o jaką zadbał dziadek. Dowiedziała się o niej, porządkując papiery po babci. Pokażna kwota w całości szła na konto kościoła.

- Miałam dwadzieścia osiem lat i nigdy nie pracowałam. Mogłam liczyć tylko na minimalną płacę. Wtedy Steve zaproponował, byśmy się pobrali. - Umilkła na chwilę. - Przyniósł druki z banków, powpisywał mój adres, upoważnił mnie do swojego konta. Nawet nie czekał, aż się pobierzemy.

Nie patrzyła na Hana, ale on obrócił jej twarz ku sobie.

- Pobierał pieniądze na nowe karty?

- Tak... - zaśmiała się ponuro.

- A to były karty wystawione na ciebie.

- Od razu się zorientowałeś. Czemu ja byłam taka zaślepiona?

- Bo nie sądziłaś, że ktoś może być taki podły.

- Byłam strasznie naiwna, teraz to widzę. Chyba dlatego, że to był Steve Mason. Że on w ogóle na mnie spojrział...

- Lucy, w łazience już jest lustro. Przyjrzyj się sobie.

- Han, proszę... - Nie chciała, by uznał ją za kompletną idiotkę, dlatego dodała: - Przeczytałam wszystkie formularze, które mi dał do podpisu, nawet to, co było napisane małym drukiem. Wszystko się zgadzało. Domyślałam się, że ważne były druki, które podpisywałam jako kopie, schowane pod spodem.

- Skoro pracował w banku, znał różne sprytne sposoby.

- W prezencie ślubnym uczynił mnie swoją współniczką w Bouheira Tours. Podejrzewam, że papiery, które podsunął mi do podpisu w czterech egzemplarzach, też były sfalszowane. Przynajmniej część z nich. Gdzieś między nimi ukrył ten najważniejszy. Zgoda na zastaw domu pod pożyczkę.

- Nie dziwię się, że tak szaleńczo go ścigałaś.

- Uhm. - Nie patrząc na niego, dodała: - Może i dobrze, że rozbiłam się tą terenówką. Przynajmniej nie zgniję tu w więzieniu za poważne uszkodzenie ciała czy jeszcze coś gorszego.

- Nie zrobiłabyś mu krzywdy - zaczął i urwał. Zastanawiał się, czy Steve nie zrobiłby jej nic złego. - Ale mogłaś sama się zabić.

- Wiem. Postąpiłam idiotycznie. Chciałam tylko... - umilkła. - Nieważne. Teraz muszę sprzedać dom, spłacić długi i ochłonać. Dostałam nauczkę.

- To wszystko?

- Tak. Nigdy nie myślałam, że odziedziczę dom, więc gdy go sprzedam, sytuacja wróci do punktu wyjścia. Szkoda, że od razu tak nie było. Wszystkim oszczędziłoby to masę problemów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nie mieściło mu się w głowie, że Lucy nie zamierza walczyć ze Steve'em, że pogodziła się z tym, co jej zrobił.

Jego nikczemność i podłość załamały ją, odebrały jej wiarę w siebie. Mason zawiódł jej zaufanie, oszukał ją. Han widział, jak ciężko to przeżyła. Przygarnął ją mocniej, jakby chciał ogrzać ją własnym ciepłem.

Podróżnemu w potrzebie należy okazać pomoc, lecz on posunął się znacznie dalej, niż wymagała tego uprzejmość i tradycja. Wiedział o tym, ale od kiedy ją zobaczył, nie traktował jej jak kogoś obcego.

Uratował jej życie, a teraz chciał... ocalić ją.

- Nim cokolwiek zrobisz, skonsultuj się z prawnikiem - zagaił, starając się, by zabrzmiało to bardzo rzeczowo.

- To nic nie pomoże. Już rozmawiałam o tych kartach. Pokazali mi druki z moim podpisem. Wydali karty w dobrej wierze, nic im nie można zarzucić. Wina leży po mojej stronie. Trzeba czytać, co się podpisuje.

- Ufałaś mu, a on wykorzystał twoje zaufanie. Przecież nie miałaś pojęcia, że bierze pożyczki pod hipotekę. Sprytnie cię podszedł, by zdobyć twoje podpisy. Nie jestem prawnikiem, ale to klasyczne oszustwo.

- Nie mam żadnego zaczepienia. To mój dom, a Steve jest moim...

- Mężem - dokończył.

- To dlatego się ze mną ożenił. - Wzdrygnęła się. - Cóż, trzeba płacić za swoje błędy.

Szczera prawda. Ale nie wszystkie błędy da się spłacić pieniędzmi...

Lucy, jakby naraz zdała sobie sprawę, że Han wciąż trzyma ją w ramionach, cofnęła się gwałtownie.

- Przepraszam cię - rzekła, ostrożnie dobierając słowa. - Nie chciałam obciążać cię moimi problemami. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Gdybyś nie był taki uparty w sprawie ubrań, nie musiałbyś wysłuchiwać tych zwierzeń.

Trudno mu było ją puścić. Bo w ogóle nie powinien się do niej zbliżyć.

- Zapamiętam to sobie.

- Czyli odeślesz te rzeczy?

- Skoro nalegasz. - Podał jej rękę, ale nie skorzystała z pomocy. Wstała sama. - Muszę zrobić, jak sobie życzysz.

- Dziękuję.

Podał jej kule. Lucy była przy drzwiach, gdy powiedział:

- Jest tylko jeden mały problem.

Nie odwróciła się, tylko zerknęła przez ramię.

- W czym będziesz chodziła, jeśli je odeślę? Trafił celnie.

- Ja... Gdybyś mógł wymienić je na coś bardziej na moją kieszeń, byłabym bardzo wdzięczna. Wystarczy parę rzeczy, bylebym tylko miała w czym wrócić do domu.

- Rozumiem. To trochę potrwa. Muszę najpierw znaleźć kogoś, kto się tego podejmie.

- Sama mogę to zrobić, tylko zawieź mnie do miasta.

- Jak sobie życzysz. - Odczekał, aż nieco się rozluźniła. - Ale nim to się stanie, musisz się w coś ubrać. - Przesunął po niej wzrokiem, popatrzył jej w oczy. - Chyba że chcesz wywołać zamieszki uliczne.

Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

- Myślę, że zajmie to dzień czy dwa - ciągnął. - I lot helikopterem.

Myślisz, że twoje ubezpieczenie pokryje koszty? Zapytasz ich? - Nie czekając na odpowiedź, dodał: - Przez ten czas musisz mieć coś do ubrania.

Zwiesiła ramiona, milczała. Ale jeśli inaczej nie można jej przekonać...

- Przy twoim pokoju jest garderoba. - Machnął ręką. Ten gest, w innych okolicznościach tak naturalny, nie przyszedł mu łatwo. - Nur nie była taka

wysoka i szczupła jak ty, ale na pewno coś dla siebie znajdziesz. Bierz bez oporów.

- Nie mówisz tego serio. - Odwróciła się, by być z nim twarzą w twarz. - Chcesz otworzyć mi oczy.

Taka była jego. intencja. Wiedział, że Lucy nie weźmie ubrań Nur. Nie żeby miała z tym problem, skoro chodziła w rzeczach z lumpeksu i sama mu o tym powiedziała, lecz dlatego, by nie sprawić mu bólu.

- Jeśli nawet, to udało mi się?

- Wiem, że zrobiłeś dla mnie znacznie więcej, niż powinienes, że jestem dla ciebie problemem. A ja powinnam jak najszybciej zniknąć ci z oczu.

- W skrócie tak można to ująć. Ale do niczego cię nie zmuszam - dodał z uśmiechem.

- Chyba nie mam wielkiego wyboru, co? - zaśmiała się.

- Lucy, zawsze jest jakiś wybór. Ale zrozum mnie. - Uległa, więc mógł okazać jej wspaniałomyślność. - Plotki, jakie buchną po mojej rodzinie, będą niewspółmierne do kosztów tych fatałaszków.

- Plotki? Chcesz powiedzieć... Myślałam, że to siostra Zahira kupiła dla mnie te rzeczy. Padło na kogoś innego?

- Przyjemnie jest wydawać czyjeś pieniądze, nie?

- To już chyba lepiej nic więcej nie powiem.

Targana sprzecznymi emocjami wróciła do swojego pokoju, usiadła na zasłanej pudłami i torbami kanapie. Przeglądając ich zawartość, miała wyrzuty sumienia. O takich przepięknych rzeczach mogła jedynie marzyć. Przytuliła policzek do delikatnego jedwabiu i łzy napłynęły jej do oczu.

- Lucy...

Głos Amirah przywołał ją do rzeczywistości. Dziewczynka stała w drzwiach, w jej oczach malowała się niepewność.

- Witaj, skarbie - odezwała się, zapraszająco wyciągając rękę. - Pomożesz mi to rozpakować?

Mała nie potrzebowała zachęty. Śmiejąc się, wyciągały z pudełek kolejne stroje, oglądały je, komentując. Nieznajomość języka wcale im w tym nie przeszkadzała.

- To co założyć? - zapytała Lucy, gestykulując. - A ty?

Amirah bez wahania sięgnęła po luźną tunikę w kolorze głębokiej czerwieni, przyłożyła ją do siebie.

- Świetny wybór! - Lucy klasnęła w dłonie.

Amirah miała dopiero trzy latka, a już doskonale wiedziała, w czym jej będzie najlepiej. Lucy pomogła jej założyć tradycyjny strój. Mała przedefilowała przed nią dumnie jak modelka na wybiegu. - A co dla mnie? - zapytała, bezradnie przyglądając się barwnym, pięknym ubiorom.

Nic nie było w jej stylu.

Musiała jednak na coś się zdecydować. Wybrała bursztynową jedwabną bluzkę, do niej pięknie skrojone czarne lniane spodnie. Niestety, nogawki okazały się zbyt wąskie, bo wciąż miała usztywnioną kostkę. Amirah podsunęła jej bogato zdobiony jedwabny kaftan.

Lucy zdecydowała się na inny, srebrzystoszary, wykończony czarnym haftem. Dziewczynka skrzywiła się, ale dobrała dla niej bladożółty szal.

Z bielizną nie było problemu, bo do każdego stroju był dopasowany komplet w tym samym kolorze.

Odesłała Amirah do Fathii i poszła wziąć prysznic. W łazience z drżącym sercem popatrzyła na swoje odbicie.

Twarz miała w sińcach, ale w sumie wyglądała lepiej, niż myślała. Rozwiązała rzemyk przytrzymujący włosy, potrzywała go w rękę i schowała do kieszeni szlafroka. Jeśli zostawi go w pokoju, niewidzialna służba sprzątnie go wraz z rzeczami do prania.

Mycie pod prysznicem poszło jej łatwo, nawet włosy umyła bez specjalnego trudu. Dobrzeję, pomyślała. Siły mi wracają. Życie mi wraca. Jeszcze dzień czy dwa i spokojnie będzie mogła stąd wyjechać.

Dziwne, ale ta myśl wcale nie budziła w niej radości.

Trochę liczyła, że po wyjściu z łazienki ujrzy Amirah, ale w pokoju nikogo nie było. Zniknęły tylko puste opakowania ze sklepów, a ubrania zostały złożone i wyniesione do sypialni.

Na toaletce ktoś porządnie poustawiał przybory toaletowe, była tam również suszarka. Nie wyglądała na nową.

Zrezygnowała z makijażu. Siniaków nie da się zamaskować. Wysuszyła włosy, spięła je srebrną spinką.

Wsunęła stopy w szare balerinki z miękkiej skórki, narzuciła długi bladożółty szal wybrany przez Amirah i wyszła na balkon, by wystawić twarz na wiatr od gór.

Han ujrzał ją na balkonie, nim jeszcze Lucy go spostrzegła.

Dżamilla, najmłodsza siostra, zadzwoniła, zanim wybrała się po stroje dla Lucy. Pytała o jej karnację i typ urody, by dobrać właściwą kolorystykę. Być może był to pretekst, może sprawdzała, czy zauważył takie szczegóły.

To już nie miało znaczenia, a stroje rzeczywiście wybrała dobrze. W jasnoszarej jedwabnej szacie subtelnie otulającej figurę, bladożółtym szalu zarzuconym na włosy i spływającym na ramiona, Lucy wyglądała bardziej na księżniczkę z baśni Szeherezady niż współczesną kobietę nękaną problemami.

Lucy chyba nagle poczuła, że nie jest sama, bo odwróciła się, spostrzegła Hana i uśmiechnęła się do niego. Od razu zrobiło mu się ciepło na sercu. Odpowiedział uśmiechem.

- Wyglądasz dużo zdrowiej, Lucy.

- I czuję się tak. Jak tylko ubrałam się w dzienny strój, od razu wstąpiły we mnie nowe siły. - Odwróciła się szybko, by nie dojrzał jej rumieńca.

- Tylko nie bądź w gorącej wodzie kąpana - rzekł, nagle uświadamiając sobie powód jej zmieszania. Te stroje były kupione z jego inicjatywy i według jego gustu. By cieszyć jego oko. Nosząc je, czuła jego dotyk, reagowała na każde muśnięcie delikatnej tkaniny. Instynktownie wiedział, że tak było.

Nie przypuszczał, że to może się zdarzyć. Lucy była wychowana w innej kulturze, nie wpajano jej od dziecka, że rolą żony jest zadowalanie męża. Choć różniła się też od kobiet, z jakimi miał do czynienia w Anglii, nim skończył studia i wrócił do ojczyzny.

Tamte dziewczyny intrygowały go, fascynowały. Wiedziały, czego chcą, i potrafiły do tego dążyć, nie miały zahamowań. Lucy w pewnym sensie była taka jak one, jednak miała w sobie jakąś naturalną niewinność. Coś wiedziała, ale nie do końca. Bała się i chciała jednocześnie.

Naprawdę z nim źle.

- Chciałabym podziękować twojej siostrze i siostrze Zahira, napisać kilka słów. Co o tym myślisz? Mówiłeś, że zakupy to dla nich przyjemność, jednak zadały sobie wiele trudu.

- Dżamilli na pewno będzie bardzo miło.

- Dzięki. Czy przed wyjazdem mogłabym obejrzeć sobie ogród? - przerwała przedłużającą się ciszę. - Może są miejsca, gdzie nie powinnam wchodzić?

- Masz ogród do dyspozycji. Nikt ci nie przeszkodzi.

- Wspomniałeś o domku myśliwskim. Nie chciałabym niechcący wejść na teren zarezerwowany dla mężczyzn, wprowadzić kogoś w zakłopotanie.

Nie brakło jej odwagi, by puścić się w pogoń za podstępny mężem, a wzdraga się na myśl o zapuszczeniu się w miejsce niedostępne dla kobiet. Jest niesamowita.

- Nie miej takich obaw.

Doskonale wiedział, że nikt nie wejdzie jej w drogę. Nie uświadczy niczyjej obecności, chyba że znalazłaby się w potrzebie.

Jest jego gościem, pod jego opieką. Ze strony jego ludzi może liczyć na respekt i szacunek należny kobiecie należącej do jego rodziny.

- Ogród stoi przed tobą otworem, *sitti*.

Sitti? Nie знаła tego słowa i żałowała, że nie ma przy sobie płyty z kursem arabskiego. Już nieco osłuchiwała się z melodią języka i chętnie nauczyłaby się czegoś więcej.

Sitti. Moja pani...

Wycofał się do gabinetu, podszedł do biurka i wyjął z szuflady zdjęcie Nur. Schował je, bo wyraz jej pełnych miłości oczu ranił go do głębi.

Ustawił zdjęcie na blacie, przesunął opuszkami palców po twarzy Nur. Gest, który wcześniej wykonał tysiące razy, jakby w ten sposób miał nadzieję przywołać ją do życia.

- Zrobiłem, co w mojej mocy, by nie pozwolić jej odejść - powiedział, czując obecność stojącej na progu Lucy. Nie odwrócił się, by na nią popatrzeć. Już i tak zaistniała w jego domu, w jego umyśle. W miejscach należących do Nur.

Gdyby teraz na nią spojrział, twarz zmarłej żony stałaby się jeszcze mniej wyrazista, rozmyłaby się w przeszłości. Byłaby tylko odległym wspomnieniem.

- Chciała tu przyjechać, być tu ze swoim dzieckiem. Odejść w spokoju - mówił, zadając sobie ból każdym słowem. - Nie mogłem się pogodzić, że jej dni są policzone, że odejdzie z tego świata, że nie da się jej uratować. To dla mnie Nur zgodziła się zostać w szpitalu, poddać terapii, na którą już było za późno, która przyniosła jej jedynie cierpienie.

Lucy oparła kule o biurko, sięgnęła po fotografię.

- Była bardzo piękna.

- To Nur zbiła lustro w łazience. Nie mogła znieść swego widoku.

Uważała, że staje się brzydka.

- Jak mogła tak myśleć, skoro widziała, jak bardzo ją kochasz? Dla ciebie nadal była piękna.

Han spochmurniał, popatrzył na Lucy.

- Widziałam to w twoich oczach, gdy o niej mówiłeś. Wygląd może się zmieniać, lecz miłość pozostaje.

- Tak mówisz? Gdybym ją kochał, dałbym jej tutaj umrzeć. Tak jak chciała - w domu, z dzieckiem w ramionach. - Pierwszy raz wyznawał to głośno. Tłumił w sobie wyrzuty sumienia, bał się, że jeśli pozwoli sobie na taką szczerość, to rozpacz i poczucie winy go zniszczą. Nie wiedział, dlaczego teraz otworzył się przed Lucy. Odkąd ją poznał, nie panował nad emocjami. - Jak mam to sobie wybaczyć? - zapytał.

- Han, jesteś tylko człowiekiem. Nie mogłeś pogodzić się z myślą, że Nur od ciebie odejdzie. Ona to wiedziała.

- Bycie człowiekiem to usprawiedliwia?

- To właśnie dlatego Nur zbiła lustro. Nie mogła znieść swego odbicia, bo było nieustającym przypomnieniem, że nie będzie patrzeć na dorastanie swego dziecka, nie doczeka się wnuków, nie zestarzeje się wraz z tobą w tym pięknym ogrodzie.

Działała intuicyjnie. Poszła za nim, gdy tak nieoczekiwanie odwrócił się i poszedł do gabinetu. Takie zachowanie do niego nie pasowało. Powtarzała sobie, że powinna dać sobie spokój i iść do ogrodu, jednak nie mogła go tak zostawić. Czuła, że Han cierpi.

Poszła za nim pod pretekstem, że potrzebuje pióra i kartki papieru, by podziękować jego siostrze.

Teraz żałowała, że się nie wycofała, że wdała się w tę rozmowę. Han może tego nie widział, lecz z jej perspektywy wszystko było jasne: wciąż płonął w nim gniew i wciąż miał żal do Nur i do Amirah. I nienawidził siebie za to.

Wiedziała, że wpatrywanie się w zdjęcie zmarłej żony nie ukoi jego bólu, że musi zrobić krok dalej, zacząć normalnie żyć. Znaleźć w sobie siły, by wybaczyć córeczce, że żyje, a jej mamy już nie ma na tym świecie, pokochać ją. Dopiero wtedy zdoła wybaczyć sam sobie.

Tylko jak mu to uświadomić? Wydaje się, że jest to niemożliwe. Z drugiej strony miała przeczucie, że Han też to wie, a jednak nie jest w stanie nic zrobić.

Pozostało jej niewiele czasu, niedługo opuści jego gościnne progi. Gdyby zdołała sprawić, że ojciec i córka zbliżą się do siebie, przerzucić most między nimi!

- Han, kochałeś ją. - Ostrożnie odstawiała fotografię. - Poddawała się terapii, byś nie miał wyrzutów sumienia. Byś wiedział, że zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy.

- Skąd to wiesz?

- Bo sama bym się tak zachowała - odparła szczerze. - To była jej świadoma decyzja.

Han wpatrywał się w Lucy w milczeniu.

Szła za głosem instynktu. Wiedziała, że Nur była gotowa cierpieć, jeśli w ten sposób mogła uwolnić męża od poczucia rozpaczliwej bezsilności.

I na pewno nie chciała, by Han do końca życia zadręczał się wyrzutami sumienia. Miał rację, mówiąc, że powinien pogodzić się z decyzją Nur, lecz ludzie targani rozpaczą często zachowują się nieracjonalnie. Możliwe też, że Nur w skrytości duszy ludziła się, że jeszcze nie wszystko stracone, że może Han jakoś ją ocali.

Delikatnie dotknęła jego ramienia, skinęła głową.

- Przepraszam, że ci przeszkodziłam.

Odwróciła się. Han wyciągnął rękę i natychmiast ją cofnął.

- Czego chciałaś, Lucy?

- Nic takiego - odparła. - Pióro i kawałek papieru - dodała po chwili.

Podał jej kartkę i długopis.

- Dowiem się, która z siostr Zahira była na zakupach.

Odprawiał ją wzrokiem. Korciło go, by ją zawołać, lecz powstrzymał się. Potarł pięścią miejsce na ramieniu, gdzie przed chwilą czuł dotyk palców Lucy, jakby w ten sposób mógł zachować ją przy sobie.

Sama była na życiowym zakręcie, a jednak pochyliła się nad nim, natchnęła go nadzieją. Uchyliła zatrzaśnięte drzwi do świata pełnego światła i ciepła.

Zrobił krok za nią, zatrzymał się i sięgnął po telefon. Zadzwoił do siostry.

- Cześć, Han. Jak miło cię słyszeć.

Nie powiedziała tego, lecz aluzja była oczywista. Już bardzo dawno się z Milly nie kontaktował. Podziękował jej za zakupy dla swego gościa.

- Nie wiem, czy pomyślałam o wszystkim. Twoja znajoma może by jeszcze coś chciała, ale jest zbyt nieśmiała, by powiedzieć to komuś, kto nie jest jej mężem.

- Wątpię - odparł.

Lucy rumieni się jak panienka, ale jest z nim szczerą. Nie ma problemów z komunikacją. Potrafi zajrzeć człowiekowi w duszę, nic się przed nią nie ukryje. I ma wyczucie. Kiedy dziś rozmawiali, odniósł wrażenie, że to Nur przemawia do niego zza grobu.

Gdyby był przesądny, mógłby uznać, że to Peri, dobry duch zamieszkujący odludne miejsca, który został zesłany, by wskazać mu drogę.

- Na pewno kupiłaś wszystko. Lucy chce wysłać podziękowanie. Dlatego dzwonię. Kto z tobą był na zakupach?

- Dira - odparła wesoło. - Świetnie się rozerwałyśmy.

- Znajdziesz dla niej jakiś odpowiedni drobiazg? W ramach podziękowania za pomoc.

- Nie ma sprawy.

- Kiedy Lucy przyjedzie załatwiać paszport, mogłabyś wybrać się z nią po stroje odpowiednie do Anglii? Do zwykłych sklepów, bo nie stać jej na drogie markowe ciuchy, a koniecznie chce sama płacić.

- Niezależna kobieta.

- Uhm. - Ale nie aż tak, by na niego nie działać.

Koniecznle musi trzymać się od niej na dystans.

Z tą myślą zadzwonił do Fathii, prosząc ją, by zjadła kolację z Lucy. Sam zamierzał iść do swoich ludzi, zająć myśli rozmową o koniach, sokołach i wielbłądach.

Zapisał na kartce imię Diry. Zostawi ją po drodze Lucy.

Ucieszył się, bo w pokoju nikogo nie było. Pewnie poszła do ogrodu odetchnąć wieczornym powietrzem.

Podszedł do stolika, położył kartkę. Jego uwagę przykuł rozłożony tomik poezji Hafeza. Sięgnął po niego.

...bo w raju nie ma wina, ni Ruknabadu wód. Sadów Mosalli, gdzie pną się róże, nie ujrzysz tam...

Złożona na pół kartka sfrunęła na podłogę. Nie chciał jej oglądać, jedynie podnieść. Papier rozchylił się, ukazując obrazek narysowany niewprawną ręką dziecka.

Rodzina. Tata, mama i dziecko.

Podniósł wzrok i ujrzał Lucy. Trzymała za rękę przewrotną małą artystkę.

Kiedy on opierał się zagarniającym go emocjom, by nie zagroziły pamięci zmarłej żony, ukochana córeczka Nur zapomniała o mamie, gdy tylko pojawił się ktoś, kto czule ją do siebie przytulił.

Ktoś, kto żyje, oddycha i jest gotów otworzyć przed nią serce.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Han...

Wzdrygnęła się, patrząc, jak gniecie w dłoni rysunek i rzuca go w ką. Opiekuńczym gestem przytuliła do siebie spłoszoną dziewczynkę.

- Han, to nic nie znaczy - zaczęła. - To jest małe dziecko. Ona nie rozumie.

- Ale ty rozumiesz. Patrzyłaś, jak rysuje, zachęcałaś ją... - Ruszył do drzwi, lecz Lucy się nie cofnęła. - Przepuść mnie, Lucy.

- Dokąd idziesz? - zapytała ostro. Coś takiego! Ona, która nie ma prawa pytać go nawet o godzinę...

- Nigdzie. Na pustynię. Jest tak samo pusta jak ja. Tam każdy dzień zaczyna się od początku. Tam nie ma wspomnień.

Minął ją, jego peleryna z wielbłądziej wełny zaśniła w słońcu. Czyli to nie była halucynacja. To on był tym aniołem...

- Mylisz się! - zawołała za nim. - Nie obronisz się przed wspomnieniami, zawsze będą z tobą! - Nie wiedziała, czy usłyszał jej słowa. Podniosła głos. - I te dobre, i te złe. Musisz z nimi żyć...

Nie chciała go zranić, lecz mimowolnie przysporzyła mu bólu. Z westchnieniem przyklękła przy dziewczynce.

- Wszystko będzie dobrze - przemawiała uspokajająco. - Tatuś cię kocha, tylko teraz sam bardzo cierpi. Zobaczysz, nadejdzie dzień, że tata przyjdzie i weźmie cię za rączkę. Podniesie cię i przytuli tak mocno, że prawie umrzesz ze szczęścia.

Mówiła do Amirah, a może do nieszczęśliwej, pozbawionej mamy dziewczynki, którą kiedyś była.

Hanif nie pojawił się przez kilka dni.

Z każdym kolejnym Lucy coraz bardziej zdawała sobie sprawę ze swej sytuacji. Luksusowy pawilon w rajskim ogrodzie, który jeszcze niedawno wydawał się bezpiecznym schronieniem, powoli stawał się jej więzieniem. Wprawdzie Han nie trzymał jej tutaj siłą, lecz bez jego rozkazu nikt nie mógł nic zrobić.

Porzuciła myśl, by zwrócić się o pomoc do ambasady. Prosić, by uwolnili ją z domu młodszego syna emira? Nie bardzo to wypadało. Fathia, jedyna, która nieco liznęła angielskiego, na jej nagabywania, kiedy wróci Han, niezmiennie odpowiadała, że jutro. *Inszallah*.

Jutro. Jeśli Bóg da.

Nie denerwowała się. Wiedziała, że to niczego nie zmieni. Że nie ma innego wyjścia, jak cierpliwie czekać.

Przez ten czas zajęła się swoimi sprawami. Skontaktowała się z prawnikiem, by jak najszybciej przeprowadzić rozwód.

Zaraz po powrocie do domu zamierzała znaleźć jakąś pracę, by samodzielnie stanąć na nogi. Dlatego zgodnie z sugestiami Hana starała się wypocząć i jak najszybciej wrócić do pełni sił. Przesiadywała w ogrodzie, czytała w bibliotece.

Siostra Hana okazała się bardzo miłą osobą. Zadzwoiła po otrzymaniu listu od Lucy, zaproponowała gościnę w Rumaillah. Była tak przyjaźnie nastawiona, że Lucy nie miała oporów, by poprosić ją o płytę do nauki arabskiego i trochę zabawek dla Amirah.

Nie spodziewała się tylko, że ich wyobrażenia na temat potrzeb małej księżniczki mogą tak bardzo się różnić.

Chociaż niektóre rzeczy, na przykład trójkołowy rowerek, bardzo się sprawdziły. Podobnie jak książeczki i układanki. Kredki nie znalazły uznania w oczach dziewczynki, wołała pastele, które dostała od Hana.

Parka syjamskich kociaków może nie była odpowiednim prezentem dla rozbrykanej trzylatki, za to Lucy, wsłuchując się w płytę z arabskim, z

przyjemnością przyglądała się zwiniętym u jej stóp kociakom. Zwierzaki towarzyszyły jej podczas przechadzek z Fathią po ogrodzie. Stara niania z rozrzewnieniem wspominała dzieciństwo Hana, przywołując związane z nim historyjki. Opowiadała, jaki był psotny i dzielny.

I jak podobna do niego jest Amirah.

Ze ściśniętym żołądkiem Lucy słuchała, jak Han omal nie zginął podczas gry w polo, i odetchnęła z ulgą, dowiedziawszy się, że na prośbę matki zrezygnował z tego sportu. Han wtedy spoważniał, pod wpływem ojca zaczął pracę w dyplomacji.

Był najmłodszym synem, ulubieńcem ojca. Nigdy nie mógł postąpić niewłaściwie, zawsze był podziwiany i uwielbiany.

To wiele wyjaśniało. Gdy ktoś wyrasta w przekonaniu o swej doskonałości, każdy najmniejszy zgrzyt, każde potknięcie, urasta do rangi życiowej porażki. I człowiek nie potrafi wybaczyć sobie nawet najdrobniejszego błędu.

Siedziały w ogrodzie, obserwując Amirah uganiającą się wokół sadzawki za motylem.

- Amirah!

Ostrzeżenie przyszło za późno. Dziewczynka, skoncentrowana na umykającym motyłu, poślizgnęła się, straciła równowagę i z pluskiem wpadła między lilie wodne.

Lucy bez namysłu rzuciła się na ratunek. Chwyciwszy dziewczynkę za sukienkę, wyciągnęła ją z wody.

Nagle wszystko zaczęło się dziać w zwolnionym tempie. Lucy, stojąc po uda w wodzie, krzyknęła z bólu. Nogi zapadały się jej w mule, kostkę przeszywał straszliwy ból. Osunęła się w wodę. Słyszała jeszcze płacz przytulonej do niej, przestraszonej Amirah, przy policzku widziała unoszący się na powierzchni wody niebieski jedwab.

- Spokojnie, Amirah - wyszeptała, odwracając się do Fathii. Ku jej zdumieniu przez wodę szedł Hanif. W zakurzonym stroju, z głową osłoniętą kefiją...

Starła się spokojnie i głęboko oddychać. Bała się, że zaraz zemdleje. Oddychaj, powtarzała w duchu. Oddychaj...

- Stój spokojnie, nie ruszaj się - usłyszała głos Hana. Brzmiał miękko, łagodnie.

- Nie - wymamrotała. - Nigdzie się nie ruszę. Na mgnienie świat zamarł.

Głos Fathii przerwał ciszę. Chyba wołała już wcześniej, tylko do Lucy to nie docierało.

- Weźmiesz Amirah?

Wydawało się jej, że minęła wieczność, nim Han pochylił się i wziął od niej dziewczynkę. Trzymał ją na odległość ramienia.

Błagała go w duchu, by przygarnął małą do piersi, przytulił mocno. I naraz, jakby usłyszał jej myśli, bo otoczył dziewczynkę ramieniem, przyciągnął do siebie. Ruszył do brzegu.

Fathia już na niego czekała. Wyciągnęła ręce po małą.

Nie oddał jej od razu. Coś chyba szeptał, do dziecka, a może do Fathii?

Triumfowała w duchu, ale gdy do niej wrócił, powstrzymała się od komentarzy.

Odetchnęła głęboko.

- Znowu mnie ratujesz - powiedziała. - To już się robi twoje stałe zajęcie.

- Nie skarzę się. - Wziął ją na ręce z taką łatwością, jakby też była dzieckiem. - To nic takiego.

- Dla mnie tak. - Starła się nie zwracać uwagi na jego bliskość. Mokra suknia przykleiła się do jej ciała. - Doczołgać się do brzegu na kolanach...

- Dałabyś radę. Uratowałaś mnie. To cud...

Mówił o Amirah? O tym, że wreszcie podszedł do niej jak ojciec?

Nagle uzmysłowiła sobie, że niesie ją do letniego domu.

- Han, woda się ze mnie leje, jestem cała w błocie!

Nie zważając na jej protesty, ułożył ją na kanapie, podłożył pod głowę poduszki. Przykląkł, zdjął jej usztywnienie, a potem chustą otarł jej nogę z błota.

Przysiadł na piętach i patrzył na nią. Wiedziała, że jej mokra suknia niszczy kosztowne poduszki, lecz ugryzła się w język. Dopiero teraz widziała, jak Han jest znękany i wymizerowany. Wyglądał, jakby od wielu dni nie spał i nie jadł.

Zdjęta współczuciem, wyciągnęła rękę, by go pocieszyć. Chwycił ją za nadgarstek, nim jeszcze dotknęła jego twarzy.

Powietrze między nimi gęstniało. Przestrogi, wpajane jej od czasów, gdy była dorastającą panienką, nagle straciły sens.

Całym ciałem wyrywała się do tego mężczyzny, marzyła, by znaleźć się w jego ramionach, poznać smak jego pocałunków.

Aż do tej pory nie miała pojęcia, że tak może być.

Rozchyliła usta, a on rozluźnił uścisk, przesunął palcami po jej ramieniu, dotknął włosów. Rozpiął spinkę i wsunął dłoń pod rozpuszczone pasma. Przygarnął ją bliżej.

Czas się zatrzymał, kiedy Han przysunął ku niej usta, dotknął jej warg.

Zapomniała o wszystkim. Całował ją z taką nienasyconą żarliwością, z jaką spragniony wędrowiec przypada do źródła. Czuła to samo co on - dziką desperację przekraczającą wszelkie dotychczasowe wyobrażenia. Przywarła do niego mocniej, a on objął ją w talii i przyciągnął blisko, całując szaleńczo, zatracając się w tym pocałunku, jakby byli ostatnimi ludźmi na ziemi. Czuła gładkość jego włosów muskających jej policzek, dotyk palców na karku, słony smak skóry.

Zrozumiała, jak wielka jest siła, która popycha do siebie ludzi, każe im przekraczać kontynenty, podbijać narody, oddawać życie.

Wreszcie pocałunek się skończył.

Hanif cofnął się, choć ona, rozgorączkowana i oszołomiona, nadal nie chciała oderwać od niego ust.

Nie otwierając oczu, oparł czoło na jej czole.

- Miałaś rację, Lucy.

- Rację...?

- Nie można uciec od wspomnień. Nie da się ich usunąć jak plików z komputera, choć byśmy bardzo tego chcieli. Wspomnienia nas kształtują, składają się na to, jacy jesteśmy.

Nie od razu dotarł do niej sens tego wyznania. Nagle, jakby w *jej* głowie zapaliła się jakaś lampka, uświadomiła sobie, co rozumiał przez „ratunek”. Myślał, że dzięki niej, jej pocałunkom i bliskości, wymaże z pamięci wspomnienia Nur.

Że ona go uratuje...

Ból, który ścisnął jej serce, zaskoczył ją. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zależy jej na tym mężczyźnie. Zresztą, skąd miała to wiedzieć? Nie miała pojęcia o miłości, czułości, namiętności.

Steve oczarował ją, ujął swym wdziękiem, okazany jej zainteresowaniem. Prawił miłe słówka, przejął odpowiedzialność za przyszłość. Wdzięczność, jaką dla niego czuła, wzięła za miłość.

Wystarczyła chwila, a zrozumiała swoją pomyłkę.

Być może to, co czuła teraz, to nie była miłość. Trudno to stwierdzić, bo przecież nie miała doświadczenia w tej kwestii, jednak jeszcze nigdy nie przeżywała takich silnych, poruszających do głębi uczuć. Steve boleśnie ją zawiódł, lecz nie zmienił jej życia.

Hanif skradł jej serce i niezależnie od tego, co się jeszcze wydarzy, jej życie już nigdy nie będzie takie samo.

Wszystko było inne: kolory nabrały intensywności, aromat róż i cyprysów stał się jeszcze bardziej upajający, jej skóra śpiewała pod jego dotykiem...

Nie chciała, by Han to zauważył.

- Wspomnienia... - Zmusiła się, by coś powiedzieć. - Wspomnienia nas kształtują. Nie da się uciec od przeszłości. Jedno, co możemy zrobić, to wyciągnąć nauczkę na przyszłość. - Starła się nie ulec emocjom. Musnęła ustami czoło Hana. Ten pocałunek może trwał sekundę za długo. Delikatnie odsunęła Hana od siebie.

Przez chwilę nadal ją trzymał, nagle, jakby dotarło do niego, co zrobił, cofnął się i odszedł.

Gdy się opanował, popatrzył na Lucy. Miał kamienną twarz.

- Przepraszam... - urwał. - Brak mi słów, by...

- Proszę, nic nie mów. Ja wiem.

Próbował ją przeprosić. Czy to dobrze, czy źle? Źle. Jasne, że źle.

- Natychmiast zajmę się zorganizowaniem twojego wyjazdu. Zawiozę cię do domu mojej matki, pod jej opieką...

- Nie! Dziękuję, ale nie.

Co się z nią dzieje? Przecież chciała wydostać się do Rumaillah, wyrobić dokumenty i wyjechać stąd na zawsze. Wyjedzie, to oczywiste. Nie ma innej możliwości. Ale nie tak.

Nie chce, by Han popadł w jeszcze większe poczucie winy, by wyrzucał sobie ten pocałunek. Nie chce, by skorzystał z okazji i odesłał Amirah, co niewątpliwie by się stało.

Pierwszy, najtrudniejszy krok już zrobił. Trzymał córeczkę w ramionach. Nie wolno pozwolić, by teraz się cofnął.

- Ty mi nie zagrażasz. - Hanif nie skomentował, więc ciągnęła śmieiej: - Póki Zahir nie załatwi papierów, wolałabym zostać tutaj. Tu jest chłodniej. - Oparła się o jedwabne poduszki, podpatrzonym u Hana gestem władczo skinęła dłonią. - Bo on już coś z nimi robi, prawda?

W domu w Rumaillah była klimatyzacja, lecz nie wspomniał o tym. Co jego samego zaskoczyło.

Tutaj powietrze było gorące, przesycone zapachem róż. W innym świecie zostałyby z tą kobietą, kochał się z nią w świetle księżyca, czytał jej wiersze, częstował smakołykami. Świat znów byłby pełen obietnic.

Ale w tym świecie Lucy należy do innego mężczyzny.

Uciekł na pustynię, myśląc, że ucieka przed wspomnieniami o Nur. Dopiero tam, na odludziu, patrząc w migoczące na niebie gwiazdy, zrozumiał, że to Lucy zagarnęła jego myśli.

Odpychał od siebie jej obraz, lecz powracała do niego w snach. Marzył o tej kobiecie, o niczym innym nie był w stanie myśleć. Po raz pierwszy, odkąd jego świat rozpadł się na kawałki.

Dlatego tu wrócił - by odesłać ją do Rumaillah, pod opiekę matki lub siostry.

Przywiózł ją tu, by jej pomóc. To miała być jego pokuta.

Jak więc mógłby ją teraz odesłać? Tylko dlatego, że jej obecność burzy spokój jego umysłu? Jego umysł nie zasługuje na spokój...

- Na Zahirze można polegać.

Lucy spróbowała wstać i zachwiała się, ale Han podtrzymał ją w porę. Otoczył ją ramieniem, zajrzał w oczy.

- Nie powinienem cię całować.

- Nie - potaknęła. - Ale ja ciebie też nie. Może zapomnimy, że coś takiego miało miejsce?

Jak miałby zapomnieć ten pocałunek, który na mgnienie przeniósł go do raju?

Lucy, choć była żoną innego, zatraciła się w tym pocałunku. Jakby czekała na niego całe życie. I ten pocałunek wyzwolił go z przeszłości.

Ogród i cytadela są teraz jej. Jeśli Steve Mason zechce odzyskać żonę, najpierw na kolanach będzie błagać ją o wybaczenie. I to Lucy zdecyduje, czy chce z nim odejść, czy może tu zostanie.

Było jej cudownie w jego ramionach, ale wiedziała, że powinna się cofnąć. Han nie puścił jej, wziął ją na rękę.

- Postaram się zapomnieć - obiecał.

- To dobrze - wydukała. - Teraz mnie puść...

- Kilka dni temu powiedziałś, że wspomnienia stają się częścią nas, że nas kształtują. Te dobre i te złe. I że musimy z nimi żyć. - Patrzył na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy. - Musimy żyć - dokończył z naciskiem.

- Ja to powiedziałam? - Han milczał. - No tak - przyznała.

- Mówiłaś szczerze?

- Oczywiście. - Zarzuciła mu rękę na szyję. - Nie wiedziałam, że mnie usłyszałeś.

- Staralem się nie słuchać - rzekł, ruszając do pawilonu. - Na pustyni ścigałem się z wiatrem, ale twoje słowa wciąż brzmiały mi w uszach. Wciąż miałem przed oczami twoją twarz. Uśmiechaś się bezwiednie, nawet gdy jesteś zła. Pamiętałem twój zapach ze szpitala...

- Środki dezynfekcyjne - uściśliła, mimowolnie przypominając sobie tamte chwile. Jego łagodność i troskliwość...

- Tak. Plus benzyna, kurz i szampon o niespotykanym zapachu.

- Mam małe przegięcie na tym punkcie. Babcia zawsze kupowała mydło karbolowe. Twarz mnie od niego piekła, a zapach niczym nie dawał się splukać. Jak zarobiłam pierwsze pieniądze, opiekując się dzieckiem sąsiadów, od razu kupiłam porządne mydło.

- Z babcią nie miałaś lekko.

- Sądziła, że robi to dla mojego dobra. Że w ten sposób uchroni mnie przed pójściem w ślady mojej mamy, przed pokusami ciała. To drogie mydło tylko utwierdziło ją w tym przeświadczeniu, stała się jeszcze bardziej surowa.

- Co ci zrobiła?

- Musiałam włożyć to mydło do miski z wodą i patrzeć, jak się rozpuszcza. Aż nic z niego nie pozostało.

- Mimo to nie wyjechałaś, zajęłaś się nią.

- Nauczyciele przekonywali mnie, że źle robię. Że powinnam oddać ją do domu opieki, a sama wrócić na studia. Ale babcia mnie nie oddała, choć na pewno nie było jej łatwo. Jak więc mogłabym ją zostawić?

- Gdy kogoś kochasz, dajesz mu wolną rękę, nawet jeśli jest ci potrzebny jak powietrze.

Znaczące słowa. Chyba Han powoli godzi się z tym, co utracił. Mimo to zadrżała, gdy zeszli ze słońca i znaleźli się w błękitnym cieniu krużganka.

Zahir nie odbierał. Han miał zostawić wiadomość, lecz jego uwagę przyciągnął śliczny syjamski kociak. Dziwne, bo nigdy go tutaj nie widział. W stajniach kręciły się zdziczałe koty, jednak ten był rasowy, z jasną maseczką, ciemnymi brzegami uszu i niebieskimi oczami. Złapał go i ruszył do pokoju Lucy.

Lucy leżała na kanapie, ze słuchawkami na uszach. Przez chwilę wsłuchiwał się w jej głos powtarzający arabskie słówka. Naprawdę zrobiła postępy.

Obserwował, jak kociak wspina się na kanapę i gramoli się Lucy na kolana. Wyłączyła płytę.

- Witaj, skarbie. - Nie widział jej twarzy, ale wiedział, że się uśmiecha. - A gdzie twój braciszek? - Odwróciła się i zobaczyła Hana.

Zdjęła słuchawki, przywitała się.

- Miałam ci o nich powiedzieć.

Nie interesowały go koty; zazdrościł im jedynie, że mogą bezkarnie domagać się jej uwagi.

- Skąd się tu wzięły?

- Od twojej siostry. Zadzwoiła i zapytała, czy może przysłać coś dla Amirah, żeby miała zajęcie.

- Co jeszcze przysłała?

- Trójkołowy rowerek, książki, gry, układanki.

- Czyli miałyście co robić. - Znał siostrę, a Lucy też poznawał coraz lepiej. - Co jeszcze?

- Dlaczego myślisz, że to nie wszystko?

- Bo twoja twarz cię zdradza. Wystarczy, że na ciebie spojrzę, a wiem, co sobie myślisz. - Może nie powinien jej tego mówić, ale chciał, by go rozumiała.

- Dzisiaj też tak było. Strasznie cię bolało, ale nie myślałaś o sobie, tylko o Amirah. Błagałaś mnie w duchu, bym wziął ją na rękę.

- Posłuchałeś własnego serca. - Szybko zmieniła temat. - Dziś rano przywieźli kucyka. I uprząż, strój do konnej jazdy, toczek. - Han milczał, więc powiedziała: - Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Nie miałaś pojęcia, jakie siły uwalniasz. - Milczał chwilę. - Powiedz mi w takim razie, czemu Amirah goniła za motylem, zamiast kłusować na kucyku, przyprawiając Fathię o palpitację serca i odciągając stajennego od pracy?

- Wyjaśniłam Amirah, że kucyk musi odpocząć po podróży. Sam wiesz, że Szetlandy są bardzo daleko stąd.

- Domyślałam się, że Milly skorzystała z okazji, by wepchnąć mi kucyka, z którego jej dzieci już wyrosły.

- Możliwe. Ja nie byłam gotowa na takie ryzyko.

Roześmiał się. Głośno. Śmiał się szczerze i serdecznie, a jej rosło serce. Cudownie było słuchać tego śmiechu. Han wyciągnął do niej rękę.

- Nie wyjeżdżaj, Lucy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Lucy, nie jedź. Zostań tutaj.

Han klęczał, trzymając jej dłonie w swoich rękach. Doskonale wiedziała, o co prosi. Ofiarowuje jej cytadelę. Niczego bardziej nie chciała, niż powiedzieć mu, że się zgadza, że przyjmuje jego i wszystko, co jej chce dać.

Nie zastanawiała się, gdy poczuła na sobie dotyk jego ust, zareagowała instynktownie. Nie rozważała, czy postępuje właściwie, nie przewidywała, co może nastąpić potem. Gdy była w jego ramionach, nie musiała myśleć.

Jednak nie może tego zrobić.

Musi działać w sposób przemyślany.

Nie tylko ze względu na siebie. Również ze względu na Hana.

Już raz popełniła niewybaczalny błąd, za który teraz płaci: uległa pokusie, by zaznać tego, co nie zostało jej dane, gdy była nastolatką. Ale już nie była podlotkiem, a dorosłą kobietą. I nie powinna się łudzić, że życie jest bajką. Tylko że niczego nie zdążyła się nauczyć, bo niczego wcześniej nie przeżyła. Nie umiała ocenić ani porównać.

Jaką może mieć pewność, że to nie jest kolejna fantazja, rozpaczliwe czepianie się ulotnego marzenia, wszystko po to, by nie mierzyć się z życiem, jakie zostało jej przypisane, gdy została porzucona przez matkę?

Może dla Hanifa ona też była taką deską ratunku, niczym więcej. Oboje znaleźli się w niecodziennej sytuacji i potrzeby, które Han tłumił w sobie po śmierci Nur, nagle doszły do głosu.

Bezwolnie podniosła wzrok, zatopiła się w jego oczach.

Z sytuacji wyratował ją kociak, który boleśnie wbił pazurki, moszcząc sobie miejsce na jej kolanach.

- Ojej, przestań! - zawołała spłoniona i zmieszana.

Nie musiała nic mówić - Han od razu pojął, że posłużyła się pretekstem, by nie odpowiadać na jego prośbę.

Nim zdążyła coś jeszcze powiedzieć, uniósł jej dłoń do ust, cofnął się i skłonił w pas, przykładając rękę do serca. A potem wyszedł.

Lucy miała rację. Jest związana z innym mężczyzną i póki ten związek trwa, nie może nic zrobić.

Musi to uszanować. I w końcu odnaleźć jej męża. Zadzwoił do Zahira, włączyła się taśma.

- Znajdź Masona. Przywieź go do mnie - rzekł stanowczo.

Nie mógł usiedzieć na miejscu, domek myśliwski i towarzystwo innych mężczyzn też go nie ciągnęły. Ruszył do stajni, by obejrzeć kucyka przysłanego przez siostrę.

To też był błąd.

Bo w stajni ujrzał Amirah. Rozpromieniona dziewczynka, szczebiocząc radośnie, pod okiem stajennego czesała kucyka. Była tym tak pochłonięta, że nie zauważyła nadejścia Hana.

Serce go bolało, gdy na nią patrzył. Podobieństwo do

Nur było uderzające. Te same ruchy, takie samo pochylenie głowy, takie same wijące się loki.

Amirah, nie mogąc dosięgnąć grzywki kucyka, odwróciła się do stajennego. Zamarła na widok ojca.

Han milczał. Nie mógł znaleźć właściwych słów. Kucyk prychnął, delikatnie szturchnął dziewczynkę nosem. Han pochwycił ją. Ukląkł i podsadził małą, by dokończyła czesanie.

- Jutro nauczę cię jeździć - rzekł, stawiając ją, by mogła pobiec do Fathii.

- Lucy, Lucy!

Był wczesny poranek, słońce dopiero wynurzało się zza dalekich gór. Lucy ubrała się w lnianą spódnicę do kostek i jedwabną bluzkę z długim rękawem.

Dzisiaj wyjedzie. Serce się jej ścisnęło na tę myśl, jednak nie mogła postąpić inaczej.

Zamknęła się w pokoju, by nie oglądać Hana, by po jej twarzy nie poznała, czego naprawdę pragnie.

Zamknięte drzwi nie stanowiły przeszkody dla podekscytowanej trzylatki. Amirah jak burza wpadła do jej pokoju. Była w bryczesach, butach do konnej jazdy, wykrochmalonej białej bluzce i aksamitnym toczku.

- Chodź mnie zobaczyć! - zawołała błagalnie. Oczy błyszczały jej szczęściem. - Będę jeździć na kucyku! - Lucy doskonale rozumiała tę angielsko-arabską paplaninę. Mała chyba wyczuła jej wahanie. - Proszę!

Jak mogłaby jej odmówić? Zresztą to jedyne miejsce, gdzie nie grozi jej spotkanie z Hanem.

Stajnie zaskoczyły ją swoim ogromem. Ciągące się boksy, brukowane alejki, garaże na przyczepy do transportu koni i na terenowe samochody do jazdy po pustyni.

Amirah szła przodem, Lucy tuż za nią, wspierając się na kulach. Poruszała się coraz sprawniej. Kucyk już był wyprowadzony z boksu, stajenny kuczał przy nim, poprawiając popręg.

Gdy się wyprostował, Lucy spostrzegła swoją pomyłkę. Han uśmiechnął się do niej.

- Jeśli ci powiem, że wiem, co sobie teraz myślisz, to uwierzysz?

- Sama już nie wiem, co myślę.

- No to ci powiem...

- Nie! - Powstrzymała łzy. Łzy radości i smutku. - Nie chcę was opóźnić.

- Popatrzyła na Amirah. - Twoja córka nie może się doczekać, by dosiąść kucyka. Jeszcze chwila, a wybuchnie.

- Ma to po mnie.

Nie czekając na komentarz, odwrócił się do dziecka. Posadził Amirah w siodle, podciągnął strzemiona. Pokazał, jak trzymać wodze, a potem powoli

poprowadził ją wokół padoku, by wszyscy mogli ją podziwiać. Dopiero po tym okrążeniu ruszył ocienioną alejką.

Lucy nie poszła za nimi. Chciała, by ojciec i córka zostali sami.

Odwróciła się i natknęła się na Fathię.

- Lucy, naprawdę dzisiaj wyjeżdżasz?

- Niestety, muszę.

- Hanifowi będzie cię brakowało.

- Ma córeczkę. Za kilka tygodni wróci do wcześniejszego życia.

Fathia poklepała ją po ręce.

- Idź do letniego domu. Przyślę tam Hana, byście się mogli pożegnać.

Od basenu wiała lekka bryza, wnosząc do wnętrza orzeźwiający powiew.

Służący przyniósł tacę z kawą, świeżo upieczonymi croissantami i miseczką fig.

Kiedy przyszedł Han, Lucy rozlała kawę do filiżanek, podała mu jedną.

Przytrzymał palce Lucy.

- Jednak postanowiłaś nas opuścić?

- Wyczytałaś to w moich myślach?

- Nie tylko to.

Jasne. Wystarczyło, by na mgnienie straciła czujność.

- Hanif, ja już nie jestem ci tutaj potrzebna. Uśmiechnął się.

- Czyli zostałaś tu dla mnie?

- Już od paru dni chciałam wyjechać. - Przez całą noc zastanawiała się, co powiedzieć mu na pożegnanie. - Muszę wyjechać. - Przełknęła ślinę. - Ale nim wyjadę, chciałabym cię o coś poprosić.

Puścił jej dłoń, odstawił filiżankę.

- Tylko nie proś o nic dla mężczyzny, który jest twoim mężem...

- Nie, nie chodzi o niego. Steve związał się z kobietą w Rumaillah, z Jenny Sanderson. Pracuje w jego agencji. Spodziewa się jego dziecka... -

Wzdrygnęła się na wspomnienie chwil, gdy przestąpiła próg agencji i zapytała o

męża. Wystarczyło jedno spojrzenie na „małżeńskie” zdjęcia na ścianie i na twarz Jenny, by domyślić się, kto jest ojcem jej dziecka.

Han mruknął coś pod nosem. Wolała nie dociekać, co powiedział.

- Jak dawno on się z tobą ożenił? Minęło kilka tygodni? Ile miesięcy ta kobieta nosi jego dziecko?

- Był w tarapatach, rozpaczliwie potrzebował pieniędzy. Ale ona i dziecko niczemu nie są winni.

- Co miałbym dla niej zrobić?

- Chyba będzie potrzebowała wsparcia, a nie mam pewności, czy może liczyć na Steve'a. Pewnie zabraknie jej pieniędzy na powrót do domu. Jeśli moje udziały w tej agencji są coś warte i jeśli znalazłby się kupiec, to miałyby coś na początek.

- Lucy, coś ci powiem. Ta kobieta, której tak współczujesz, zaprzeczyła, byś kiedykolwiek istniała. Gdybym wtedy nie był w pobliżu, gdyby zabrakło ci benzyny, a byłaś bardzo daleko od szlaku, pewnie byś nie przeżyła.

- Daleko od szlaku?

- Jechałaś do obozowiska Masona u podnóża gór?

- No tak...

- Zjechałaś wiele kilometrów w bok, byłaś na zupełnym pustkowiu. GPS w twojej terenówce był popsuty.

Sens tych słów dotarł do Lucy, bo pobladła raptownie.

- Skąd wiesz?

- Zahir pracował nad tym przez kilka dni. Wczoraj z nim rozmawiałem. Ta Sanderson sądziła, że nie przeżyłaś wypadku. By dać alibi Masonowi, znalazła kogoś, kto ściągnął spalone resztki terenówki. Do kasacji, by nie pozostał żaden ślad.

- Chroniła swoje dziecko. Kobieta zrobi wszystko...

Urwała. Bała się, że powie o słowo za dużo.

- Jesteś gotowa wybaczyć jej wszystko?

- Han, proszę cię.

Gdy ujrzał ją dzisiaj w stajni, wiedział, że postanowiła wyjechać. Wmówiła sobie, że tak powinna zrobić. A widząc go z Amirah, łatwiej się zdecydowała.

Ból, jaki od tamtej chwili go nie opuszczał, nie pozostawiał wątpliwości. Jeśli jeszcze się zastanawiał, czy to miłość, to teraz jego wahania się rozwiały. Lucy ma tyle współczucia dla tej kobiety, kolejnej ofiary Masona, choć ta Jenny pewnie nie jest tego warta.

- Zgoda. Jeśli ty jej wybaczasz, to ja się dostosuję. Dopilnuję, by włos jej nie spadł z głowy. - Popatrzył na Lucy.

- A co z Masonem?

- Z Masonem?

- Jest twoim mężem. Zamierzasz do niego wrócić?

Musiał ją o to zapytać. Zdążył ją poznać i wiedział, że dotrzymuje słowa.

- Czy dobra kobieta z Ramal Hamrah tak właśnie by zrobiła? - zaskoczyła go pytaniem.

- Nie. Nie spoczęłaby, póki by go nie dopadła i nie wyrwała mu zdradliwego serca. Ale twoje małżeństwo nie było aranżowane, wyszłaś za męża z miłości. A jak przed chwilą stwierdziłaś, z miłości kobieta jest zdolna wszystko wybaczyć...

- Hanif...

W jej oczach ujrzał to, co zapewne ona widziała w jego oczach.

Gdyby nie odwrócił wzroku, gdyby wziął ją w ramiona, może by od niego nie odeszła...

- Lucy...

Odwróciła się z westchnieniem. Steve. Ten, który tak okrutnie z niej zadrwił, który wykorzystał jej łatwowierność. Zawiódł zaufanie nie tylko jej, również kobiety, która nosiła jego dziecko.

- O Boże, jak ty wyglądasz! Twoja twarz...

Mason wyciągnął rękę, a Han ledwie się powstrzymał, by nie rzucić nim o pień najbliższego drzewa.

- Przepraszam, panie - sumitował się Zahir. - Powiedziano mi, że tu ekscelencję znajdę. Nie wiedziałem, że ekscelencja nie jest sam.

Han zbył jego przeprosiny machnięciem ręki.

- Nie słyszałem helikoptera.

- Na wybrzeżu wieje, przyjechaliśmy samochodem. Han odwrócił się do Masona.

- Ma pan coś do powiedzenia?

- Wasza Wysokość - zaczął Mason, uniżenie pochylając głowę. - Obyś żył jak najdłużej. Pokornie dziękuję za uratowanie Lucy, za okazaną jej pomoc.

Gardził tym nikczemnikiem. Liczył, że pochlebstwem wkupi się w jego łaski?

- Co ma pan do powiedzenia żonie?

Lucy wlepiła wzrok w Hana. W jednej sekundzie z ujmującego kochanka przeobraził się w zdystansowanego autokratę. Przeniosła spojrzenie na Steve'a plotącego bzdury w nadziei, że udobrucha i zjedna sobie Hanifa.

- Daj sobie z tym spokój. - Widziała, że już miał na końcu języka kolejną dobrze przygotowaną bajkę, by ją zmiękczyć, lecz ona nie chciała słuchać jego kłamstw. - Powiedz mi tylko, dlaczego to zrobiłeś.

- Masz rację. Należy ci się wytłumaczenie. Nie skomentowała tego, czekała.

- Wróciłem do Anglii, by zdobyć fundusze na mój biznes. Tutaj na nikogo nie mogłem liczyć. Miałem nadzieję, że rodzice zgodzą się wziąć pożyczkę pod zastaw domu. To naprawdę bardzo rozwojowy biznes, Luce...

- Lucy - prychnęła, krzywiąc się na dźwięk tego zdrobnienia. Kiedyś to wiele dla niej znaczyło. - Mam na imię Lucy.

- Lucy - poprawił się.

Machnęła ręką. Han uśmiechnął się ukradkiem. Żadna z jego siostr nie uczyniłaby tego gestu bardziej władczo, z większą pogardą.

- To fantastyczny biznes - ciągnął Mason, aczkolwiek już z mniejszą pewnością siebie.

- Ale pan nie jest wiarygodnym kredytobiorcą, prawda? - uciął Zahir. - To nie pierwszy interes, jakiego pan próbował. Idzie pan na skróty. I ma słomiany zapał.

Mason chyba chciał zaproponować, lecz po chwili namysłu tylko skinął głową.

- Cóż, to prawda. Nawet moi rodzice woleli nie ryzykować. Jechałem do centrum, by zabukować miejsce w samolocie. I nagle zobaczyłem, że twój dom jest na sprzedaż. Mama wspomniała mi, że twoja babka zmarła. Pomyślałem, że pewnie odziedziczyłaś go po niej.

- Nie przypuszczałam, że będziesz mnie pamiętał. Od szkoły minęło tyle lat.

- No przestań. Taka bystra dziewczyna, i te twoje włosy.

Nie raz się zastanawialiśmy, czy gdyby je ściąć, to nadal byłabyś taka mądra. No wiesz, jak Samson.

- I nikt nie zamierzał osaczyć mnie gdzieś i je ciachnąć?

Zmieszał się. Chyba po raz pierwszy, pomyślał Han.

- Lucy, ty zawsze coś w sobie miałaś. Powiem ci szczerze, że wszyscy byliśmy pod twoim urokiem.

Han nie odrywał od niej wzroku. Jej oczy zdradzały wiele. Widział w nich samotność odrzuconej nastolatki.

- Przesadzasz. Włosy mogłam sobie zachować, ale moje pieniądze to już była inna sprawa.

- Zamierzałem je oddać. Liczyłem, że spłacę karty, przynajmniej część, nim w ogóle się dowiesz.

- A pożyczka z banku? - zniecierpliwiał się Han. - Kiedy zamierzał pan ją spłacić?

- Planowałem wpłacić pierwszą ratę. A potem wszystko ci wytłumaczyć. - Popatrzył na Lucy z uśmiechem. Nadal był przekonany, że jego czar wszystko załatwi. - Brak płynności finansowej potrafi dobić.

- Popsuty GPS na środku pustyni zabija jeszcze skuteczniej - zareplikował Zahir.

- Jenny nie miała pojęcia, że Lucy zabrała terenówkę. Samochód czekał na naprawę. Dopiero od pana dowiedziała się o wypadku. Przerazona zadzwoniła do mnie. Myślała, że Lucy zginęła.

- Kazał pan jej ściągnąć rozbity samochód i oddać do kasacji, by nie pozostał żaden ślad.

- Nie, sam to zorganizowałem. Spanikowałem...

- Jenny powiedziała Zahirowi, że ona to zrobiła.

- Chciała mnie chronić.

- Raczej oszukać samą siebie.

Lucy pochwyciła jego spojrzenie. Kobieta jest zdolna do wszystkiego...

- Połowa firmy należy do ciebie, to wszystko jest w papierach. Pan Zahir przejrzał dokumenty, potwierdzi to. Nie mogłem ruszyć bez kapitału. Potrzebny był sprzęt, samochody, strona w internecie. Daj mi szansę, a oddam ci wszystko co do grosza. A nawet więcej.

- To prawda, ekscelencjo. Wszystkie pieniądze zostały zainwestowane w firmę. Zapotrzebowanie na usługi agencji jest ogromne, ludzie czekają w kolejce.

Han słyszał przepelniający kuzyna entuzjazm.

- Han? - cichy głos Lucy przywołał go do rzeczywistości.

Teraz żałował, że potrafi czytać w jej oczach. Chciała dla Masona łaski.

- Prosisz o miłosierdzie? Mimo że zdradził cię na każdy możliwy sposób?

- Nie proszę ze względu na niego. - Wyciągnęła rękę, lecz nie dotknęła Hana. - Proszę o litość dla kobiety, która go kocha, i dla jej nienarodzonego dziecka.

- Prosisz, bym pozwolił temu człowiekowi zostać w Ramal Hamrah? By brukał mój kraj swą obecnością?

- Jeśli ma mnie spłacić, to jego firma musi działać.

- Liczysz na to?

- Będę stać nad nim z batem.

- Zostaniesz tu? Będziesz z nim pracować? Żyć z nim? - dodał w duchu.

Nie będzie delikatny. Lucy współczuła kobiecie, która skradła jej męża. Jak wyobraża sobie przyszłość?

- Będziesz się nim dzielić? Będziesz drugą żoną? Licytować się, która więcej od niego dostała? Pilnować, czy nie poświęca jej więcej czasu niż tobie?

Odwrócił się, nim zdążył ujrzeć odpowiedź w jej oczach.

Czemu miałyby na to nie pójść? Tyle razy mu powtarzała, że kobieta zrobi wszystko nie tylko dla swego dziecka, ale i dla mężczyzny, którego kocha.

- Prawdę mówiąc...

Wszyscy popatrzyli na Masona.

- Rzecz w tym, że Jenny... - Pobladł, głos mu się łamał. - Wybacz, Lucy, ale ona nie jest moją dziewczyną, to moja żona. - Wyprostował się. - Kocham ją. Zrobiłbym dla niej wszystko. - Wzruszył ramionami. - I już zrobiłem...

Spojrzenia Lucy i Hana skrzyżowały się na mgnienie. Po raz pierwszy nie miał pojęcia, co ona teraz czuje.

Nikt się nie odezwał. Czekali.

- Oszukałem cię, gdy zaraz po ślubie powiedziałem, że niespodziewanie zwolniło się miejsce w samolocie. Miałem je już wcześniej zarezerwowane.

Lucy, jesteś świetną dziewczyną i każdy facet byłby dumny...

- Ale za bardzo kochałeś Jenny, by ją zdradzić.

- Sam się sobie dziwiłem. Widać mam jakieś zasady...

- Zasady? - przerwał mu Han. Wiedział, że to kolejna sztuczka, by ich sobie zjednać. - Czyżby bigamia nie była przestępstwem?

- W dzisiejszych czasach nikt się tym nie przejmuje. Co najwyżej dostałbym upomnienie.

- Sprawdził pan to zawczasu? Obawiam się, że pański optymizm jest przedwczesny. Chyba pan nie wie, że w Ramal Hamrah oszustwo jest bardzo poważnym przestępstwem.

- Han, on ma żonę i dziecko w drodze. Już rozmawiałam z prawnikiem o rozwodzie, ale w tej sytuacji nie będzie problemu z unieważnieniem małżeństwa. Niczego więcej nie chcę. - Głos jej drżał, jakby nagle wyzwoliła się z dręczącego ją napięcia.

- Rozmawiałaś o rozwodzie?

- Obawiam się, że rachunek za telefon cię załamię, a wygląda na to, że nie mam męża, któremu mógłbyś go wysłać.

Mówiła z powagą, ale jej oczy... Jej piękne oczy się śmiały.

- Jeśli choć słowem wspomnisz, że sama go uregulujesz - rzekł ostrzegawczo - to będę nalegał, byś za mnie wyszła.

Pomyślał, że chyba stracił rozum, wypowiadając te słowa, lecz jej błyszczące oczy, promieniująca z nich niewinność, nie pozostawiały wątpliwości. Steve nawet nie tknął swej żony.

Odwrócił się do Zahira.

- Pani Forrester chce sprzedać swoje udziały w Bouheira Tours. Jako absolwent Harvardu i zapalony entuzjasta turystyki chyba będziesz tym zainteresowany.

- Z radością powitam takiego współnika - zaczął Mason.

- Nie wątpię - zmroził go Han. - Jednak nasze prawo nie pozwala przestępcy czerpać profitów z popełnionych przez niego czynów. Pańskie udziały podlegają konfiskacie. Zostaną sprzedane, a uzyskane pieniądze trafiają do pańskich wierzycieli. Domyślałam się, że jest ich wielu.

- Deportujecie mnie?

- Nie, deportujemy pana żonę. Była pana współniczką w przestępstwie...

- Han! Obiecałeś!

- Pan zostanie w Ramal Hamrah i sąd zdecyduje o pana losie.

- Han, proszę!

- Nie proś o miłosierdzie dla niego. Ten człowiek ukradł twoje pieniądze, niewiele brakowało, byś przez niego straciła życie. Teraz okazuje skruchę, ale jeśli puścimy go wolno, zaraz znajdzie kolejną ofiarę, ufną kobietę, którą ograbi i której zmarnuje życie, a ona nie wniesie na niego skargi.

Patrzyła na niego gniewnie.

- Obiecałeś, że zatroszczysz się o Jenny Sanderson.

- I dotrzymam słowa. Zostanie odesłana na mój koszt. To dużo więcej niż ona była gotowa zrobić dla ciebie. - Lucy odwróciła się na pięcie. Była wściekła na niego, a może na siebie? Czuła się w jakiś sposób odpowiedzialna za ich podłe czyny i to ją dobijało. - Zahir, nim panem Masonem zajmą się odpowiednie władze, przejmij kontrolę nad Bouheira Tours. Turyści nie powinni ucierpieć.

- Ekscelencjo... - Zahirowi zabrakło słów. - Jego Wysokość emir...

- Wracam do Rumaillah. Twoja misja została zakończona.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wbiła wzrok w okno i zapatrzyła się na samolot kołujący do terminalu. Unikała patrzenia na Hana.

Ostatnie dni spędziła u Milly. Poznała też matkę Hana i jego babcię. Przyjęły ją bardzo dobrze.

Zastanawiała się, co Hanif im powiedział. Czy wiedziały, ile dla niej zrobił, znały jej sytuację? Oczywiście nie śmiała zadawać takich pytań. Hana nie widziała. Milly wyjaśniła, że spędzał czas z ojcem.

- Omawiają przeszłość Hana - rzekła.

- Przeszłość? - Nie powinna się tak dopytywać, lecz nie mogła się powstrzymać.

- Wraca do kariery dyplomatycznej. Wyjedzie do Nowego Jorku jako specjalny wysłannik Wysokiego Komisarza. Zajmie się pracą na rzecz zwalczania światowego ubóstwa.

- Do Nowego Jorku? Strasznie daleko... A Amirah? - wybąkała.

Milly uśmiechnęła się.

- Zabiera ją ze sobą.

Lucy odetchnęła lżej. Cieszyła się, że nie zostawi córeczki tutaj.

- Amirah pewnie się bardzo cieszy.

- Tak. - Uśmiech Milly zgasł. - Nur była wychowana w bardzo tradycyjnej rodzinie, ceniono tylko chłopców. Nie mogła zrozumieć, że tata i moi bracia... - Pokręciła głową. - Hanif wciąż nie może zapomnieć, że Nur nie zdołała mu zaufać. To dla niego bardzo bolesne wspomnienie. Za każdym razem gdy patrzy na Amirah, przypomina to sobie na nowo. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, Lucy, za to, co zrobiłaś.

- To nic takiego. On uratował mi życie. Milly uścisnęła jej dłoń.

- No to jesteście kwita. - Odwróciła się, słysząc kroki w korytarzu. - Czas na nas. Masz wszystko?

- Tak. - Naraz tuż przed sobą ujrzała twarz Hanifa. Pierwszy raz, odkąd się rozstali. W gniewie. - Wyjeżdżam.

- Wiem. Odwieziemy cię z Amirah na lotnisko.

Jak mogła choć przez chwilę myśleć, że będzie ją namawiać, by została? On też niedługo wyjedzie. Wróci do swego życia, tak jak ona.

W drodze na lotnisko Amirah radośnie opowiadała jej o wyjeździe do Nowego Jorku. Dopiero gdy przeszli do prywatnego saloniku i uwagę dziewczynki przykuły widoczne za szybą samoloty, mogli ze sobą porozmawiać.

- Lucy, nadal się na mnie gniewasz?

- Gniewam?

- Uważasz, że niesprawiedliwie obszedłem się z Masonem? Musi zrozumieć, że ponosi odpowiedzialność za swoje czyny.

- W takim razie może ja też powinienam trafić do więzienia. - Odwróciła się i popatrzyła mu prosto w oczy. - Goniłam za fantazją. Zamarzyłam sobie, że jestem dziewczyną, którą zauważy taki chłopak jak Steve Mason. Gdybym nie była taka napalona i żalosna, nigdy by nie zdołał mnie omotać. Nie byłby teraz w więzieniu.

- Nie oceniaj się w taki sposób. Nie ma osoby bardziej cieplej i oddanej innym niż ty. - Ujął jej rękę. - Jesteś za dobra dla tego świata. Nie powinienem cię stąd puszczać. Powinnaś zostać w ogrodzie, wśród kwiatów. Tam byłabyś bezpieczna.

Potrząsnęła głową i spróbowała wyswobodzić rękę, lecz Han jej nie puścił.

Chciał mieć ją przy sobie, zapewnić jej bezpieczeństwo, spełnić marzenia. Jednak Lucy go czegoś nauczyła. Wiedział już, że jeśli kogoś się kocha, nie można go ograniczać. Choć to oznacza ryzyko, że odejdzie i nie wróci.

- Nie jestem kwiatem.

- Tak mówisz? Masz wszystko, co ma róża, nawet kolce.

- Co będzie z tą biedaczką i jej maleństwem?

- Martwisz się o nią bardziej niż o siebie. Dlaczego? - Nie chciał rozmawiać o tym, co było i minęło. Chciał mówić o przyszłości.

- Mogłam być na jej miejscu. - Zależało jej, by zrozumiał jej racje. - Czuje się odpowiedzialna.

- Nie, Lucy. To oni odpowiadają za to, co zrobili. I muszą ponieść konsekwencje. Tak jak każdy.

- Powiedziałaś kiedyś, że niczego mi nie odmówisz. Pamiętał. Mówił to szczerze.

- Ale nie tego. W tej sprawie jestem nieugięty. - Po chwili spytał: - Naprawdę musisz wyjechać?

- Muszę sprzedać dom, spłacić długi. Zacząć żyć własnym życiem. Nie w świecie fantazji czy w więzieniu, a naprawdę.

To, co czuje, czuje naprawdę. Tak jak ona...

- Zamierzam wrócić na uniwersytet.

- Studiować literaturę francuską?

- Nie, wyrosłam z tego. Zastanawiałam się, co mogłabym...

Nie dokończyła. Nie naciskał jej.

- A co z twoją matką? Będziesz jej szukać?

Lucy skinęła głową. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Jeśli mógłbym ci jakoś pomóc... - zaczął, ale w tym momencie steward zaprosił Lucy na pokład.

Poderwała się, wtuliła twarz w loki Amirah.

- Do widzenia, skarbie. Życzę ci wspaniałego życia. Zebrała się w sobie, odwróciła się do Hana.

- Han, dziękuję ci. - Podała mu rękę. - Za uratowanie życia. Za wszystko. Nigdy cię nie zapomnę.

Wiedział, co to znaczy. Nie „do widzenia”, ale „żegnaj”.

Nie potraktował tego na serio. Przycisnął jej dłonie do piersi, jakby w ten sposób przekazywał jej swoje przesłanie. Daje jej wolną rękę, ale nie żegna się z nią na zawsze. Oboje potrzebują trochę czasu, by zacząć żyć na nowo.

Chciał jej powiedzieć wiele rzeczy, lecz intuicja podpowiadała mu, że Lucy jeszcze nie jest na to gotowa, że jeszcze sama sobie nie ufa. Pocałował ją w oba policzki, uniósł jej dłonie do swoich ust.

- *Maas salamah*, Lucy. Niech cię Allah strzeże.

- *Maas salamah*, Han...

Chciała powiedzieć coś więcej. Wiedziała, że to ich pożegnanie. Pochodzą z innych światów, a kiedy Han wróci do swego życia, jej obraz powoli rozplynie się w przeszłości, stanie się jedynie wspomnieniem. Dobrym wspomnieniem, miała nadzieję. Po latach z uśmiechem wróci do tych wydarzeń, starając się przypomnieć sobie jej imię, choć obraz jej twarzy już dawno zatrze się w jego pamięci.

Jednak przez ściśnięte gardło nie mogła wydusić ani słowa. Trudno, za tydzień, może za miesiąc, Han sam to wszystko zrozumie.

Sięgnęła po kule, ruszyła za stewardem. Amirah dogoniła ją przy drzwiach, objęła ją za nogi, nie pozwalając iść.

Han powiedział coś i dziewczynka pobiegła do niego. Podniosła rączki. Tym razem Han się nie wahał, od razu wziął ją na ręce. Mała objęła go za szyję i wtuliła buzię w jego ramię.

To dzięki niej to się dokonało.

Gdyby już nic więcej w życiu nie zrobiła, zawsze będzie mogła pocieszać się myślą, że doprowadziła do tego porozumienia.

Ich spojrzenia jeszcze raz się spotkały. Han poruszył ustami, lecz megafon zagłuszył jego słowa. Zresztą, co jeszcze można było powiedzieć? Lucy skinęła głową, ruszyła do samolotu.

Przez ściśnięte gardło podziękowała stewardowi, który wniósł na pokład jej torbę i zaprowadził ją do królewskiego przedziału.

Ostatni raz w luksusie. Salonik z wygodnymi fotelami i najnowocześnieszą elektroniką, sypialnia, gdyby chciała się przespać.

Jednak największe wrażenie zrobiła na niej książka leżąca obok fotela.

Należący do Hanifa tomik poezji Hafeza z kilkoma słowami skreślonymi na obwolucie. „Żebyś nie zapomniała”. Na dole jego podpis, po arabsku.

Widząc coś takiego, każda dziewczyna by się popłakała.

Han patrzył na wzbijający się w niebo samolot i czuł, że serce wyrywa mu się z piersi.

- Tatusiu, gdzie pojechała Lucy?

Popatrzył na córeczkę i nagle zdał sobie sprawę z czegoś, co dotąd było dla niego zakryte. W przebłysku olśnienia pojął, że jego serce jest przy tych, których kocha. Tych, którzy już odeszli do rajów, i tych, którzy są z nim tutaj: rodzinie i przyjaciółach, ludziach mu bliskich.

Podziwiał Lucy, która tak mało dobrego doświadczyła w życiu, a jednak miała serce i współczucie dla tych, którzy przynieśli jej cierpienie.

Znalazła w sobie miłość dla osieroconej dziewczynki, starczyło jej nawet dla samotnego, zmagającego się ze sobą mężczyzny.

Chce odnaleźć matkę, która się jej wyrzekła. I na pewno zdoła jej wybaczyć. I pokochać ją.

- Gdzie ona pojechała, tatusiu? - powtórzyła Amirah.

- Do kraju, który nazywa się Anglia.

- Po co pojechała?

- Bo musi coś tam zrobić. - Tak jak on. Zacząć znowu żyć, być z bliskimi, w kraju, który go potrzebuje. Jest winien ojcu trzy lata posługi. Prosił tylko o trzy miesiące.

- Przyjedzie do nas niedługo?

- *Inszallah*, skarbie. Jak Bóg da.

Szybko się przekonała, że życie nie jest takie straszne, jak to sobie wyobrażała.

Przez dwadzieścia osiem lat unikała wyzwań, trzymała się na uboczu, starając się nikomu nie narazić. W szkole, ze spuszczoną głową, kryła się po kątach. Później przez dziesięć lat opiekowała się słabnącą babcią, zmagając się z jej chorobą, opieką społeczną, brakiem pieniędzy.

Steve objawił się w momencie, gdy jej dotychczasowy świat legł w gruzach, gdy przestała walczyć. Nie miał skrupułów, by wykorzystać bezradną, naiwną dziewczynę. Han miał rację: Steve, przekonawszy się, jak łatwo to zrobić, powtórzyłby numer bez mrugnięcia okiem.

Żałowała, że nie może Hanowi tego powiedzieć.

Dopiero teraz, gdy sukcesywnie dowiadywała się o szkodach poczynionych przez Steve'a, otwierały się jej oczy.

Zahir powiadomił ją, że Jenny Sanderson szczerze żałuje swoich postępów, że działała jak w amoku, co dopiero teraz do niej dotarło. Była wdzięczna za odesłanie do rodziców, którzy przyjęli ją serdecznie i nie mogą doczekać się przyjścia na świat wnuka. Ma szansę na rozpoczęcie nowego życia.

Dla niej również zaczynało się nowe życie. Wystawiła dom na sprzedaż, zgłosiła się do agencji pracy. Powiedziała, że nie ma doświadczenia, że nigdy nie pracowała, że opiekowała się chorą babcią. Nagle uzmysłowiła sobie, że powtarza dokładnie to, co mówił jej Steve. Wzmacniając jej obawy i niepewność, by łatwiej nią kierować.

- Nie, proszę to skreślić. Zawsze dobrze się uczyłam, przez ostatnie dziesięć lat prowadziłam dom, mając bardzo ograniczony budżet, współpracowałam z opieką społeczną. Znam dość biegle francuski, trochę włoski, uczę się arabskiego. Aha, mam też prawo jazdy.

- Francuski? A radzi sobie pani z komputerem? Straciła nieco pewności siebie.

- Korzystałam z komputera w szkole.

- To nie problem, zrobimy pani szybkie szkolenie z najnowszych programów. Dziś po południu, jeśli może pani zacząć od jutra pracę. Za przyzwoitą pensję.

Po kilku dniach szło jej już całkiem nieźle. Oswoiła się z pracą, przestała panikować, gdy w słuchawce ktoś odzywał się po francusku. Brakowało jej tylko kogoś bliskiego, przed kim mogłaby się wygadać.

Brakowało jej Hana. Uświadomiła to sobie nie od razu. Któregoś dnia wróciła do domu i w telewizji ujrzała szejka Hanifa al-Khatiba przemawiającego na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ. Wyglądał rewelacyjnie, przemawiał z pasją.

Dynamiczny, pełen życia i tak daleki...

Przycisnęła dłoń do ekranu. Tak bardzo pragnęła być blisko niego. W tym samym pomieszczeniu. W tym samym kraju...

Odtwarzała w pamięci każdą spędzoną z nim chwilę, jego twarz, ostatnie minuty, kiedy go widziała. Mówił coś, lecz nie dosłyszała słów.

Nagle spłynęło na nią olśnienie. Prosił, by zadzwoniła...

Ale co miałaby mu powiedzieć? Że za nim tęskni? Że go kocha?

A może tylko, że go potrzebuje?

Nadal szuka kogoś, na kim mogłaby się wesprzeć?

Tęskni za nim i kocha go, ale musi udowodnić i sobie, i jemu, że jest samodzielna, że daje sobie radę.

Zakwalifikowała się do londyńskiej Szkoły Studiów Orientalnych i Afrykańskich. Po okresie próbnym dostała etat, lecz miała większe ambicje. Liczyła, że po skończeniu studiów otworzą się przed nią szanse na pracę w MSZ, w dyplomacji. Może dostanie pracę w ONZ...

O tym marzyła!

Chciała oderwać myśli od Hana, zabrała się więc za długo odkładaną sprawę - poszukiwania matki. W agencji, do której się zgłosiła, nie obiecano wiele. Nie była adoptowana, czyli nie było dokumentów na jej temat. Nikt nie powiedział tego wprost, lecz wniosek nasuwał się sam - gdyby matka chciała ją

znaleźć, nie miałyby z tym żadnego problemu. Skoro tego nie zrobiła, nie odczuwała potrzeby kontaktu z córką.

Podano jej stronę w internecie, dzięki której mogłaby wpaść na jakiś trop. Spróbowała, sukcesywnie zawężając poszukiwania. Wreszcie z tysięcy rekordów pozostawiła trzy adresy. Wysłała na nie e-maile.

Czy jesteś Elizabeth Forrester, córką Jessiki Forrester, która kiedyś mieszkała w Maybridge?

Lucy

Nie podała adresu. Matka go zna. Nikt się nie podszyje.

Dzięki pracy i nawiązanym kontaktom nabrała pewności siebie. Zaprzyjaźniła się z Diną, Jordanką, która uczyła ją arabskiego, polubili ją współpracownicy.

A życie nauczyło ją rozwagi.

Przyjęcia, koncerty, spotkania... Han, stojąc pod prysznicem, zmywał z siebie znużenie po kolejnej uprzejmej, nic nie wnoszącej rozmowie.

Trzy miesiące...

Czuł się wypalony. Znow musiał oganiać się od kobiet, które chętnie dodałyby go do kolekcji swoich podbojów, znow musiał robić dobrą minę, mając do czynienia z dyktatorami żyjącymi w przepychu, podczas gdy ich poddani przymierali głodem. Każdy dzień bez Lucy wydawał mu się nieskończonością.

Gdyby była przy nim, wspierała go, pomagała mu przetrwać ten horror... Gdyby mógł zatopić się w jej spojrzeniu, w uścisku jej ramion, w pocałunkach...

Owinął biodra ręcznikiem, podszedł do telefonu. Marzył, by usłyszeć jej głos. Oddałby za to wszystko.

Podniósł słuchawkę, odłożył ją. Prosił Lucy, by się odezwała. Jeśli będzie gotowa, zadzwoni do niego. Musi w to wierzyć.

Prawnik powiadomił Lucy, że jej małżeństwo zostało oficjalnie unieważnione. Jakby go nigdy nie było.

Postanowiła to uczcić. Wybrała się do manikiurzystki, potem do fryzjera. Jednak gdy nadszedł moment, którego tak wyczekiwała, nie zdecydowała się na radykalny krok. Poprosiła tylko o podcięcie końcówek. Już nie musi nikomu niczego udowadniać.

Jej poszukiwania nie dały żadnego skutku. Nie znalazła niczego szczególnego, a na e-maile dostała dwie odpowiedzi negatywne. Pozostała jej tylko jedna Elizabeth Forrester. Czy to jej matka? Może zamknęła za sobą przeszłość, prowadzi stateczne, poukładane życie i drży, by jej córka przypadkiem się nie objawiła. Napisała jeszcze raz.

Jeśli jesteś Elizabeth Forrester, niegdyś zamieszkałą w Maybridge, i jesteś moją matką, proszę cię tylko...

Urwała. O co chce ją prosić? O wszystko. O nic. Chciałaby usłyszeć jej głos. Popatrzeć jej w oczy i ujrzeć... No co?

Skasowała tekst.

Minął miesiąc i nadal nie przyszła odpowiedź od Elizabeth Forrester numer trzy.

Może e-mail do niej nie dotarł? Może nadal krąży w wirtualnej przestrzeni?

Napisała jeszcze raz.

Poszukuję mojej matki, Elizabeth Forrester, córki Jessiki Forrester z Maybridge. Jeśli to nie pani, to bardzo proszę o wiadomość.

Lucy Forrester.

Wysłała list i jak urzeczona wpatrywała się w monitor. Jakby liczyła, że zaraz nadejdzie odpowiedź.

Dina, widząc jej stan, wyciągnęła ją do supermarketu. Lucy rozluźniła się, lecz na widok fig, zimnych i twardych, tak innych od tych, jakimi częstował ją Han, straciła humor. Wymówiła się bólem głowy i poszła do domu. Tam

wyjęła orientalne stroje z gładkiego jedwabiu ofiarowane jej przez Hana i wtuliła w nie twarz, wyobrażając sobie przesycony zapachem róż ogród, przypominając sobie buzię Amirah paradującej w czerwonej tunice.

Sięgnęła po tomik poezji i przycisnęła go do serca. Co Han robi teraz w Nowym Jorku?

Może jest na dyplomatycznym koktajlu, otoczony wianuszkami kobiet, mądrzejszych i piękniejszych od niej, w olśniewających kreacjach godnych jego oczu?

Nagle ją coś uderzyło. Uświadomiła sobie, że mimo sukcesów w pracy i na studiach, mimo nowych przyjaźni i znajomości, w głębi duszy nadal jest taka jak przedtem, tkwi w tym samym miejscu. Nadal podświadomie uważa, że skoro matka ją porzuciła, to jest nic niewarta.

Ta myśl ją otrzeźwiła, dała jej napęd do działania. Nazajutrz zamieściła ogłoszenie w ogólnokrajowej gazecie, zgłosiła się do programu radiowego, lokalna gazeta zamieściła z nią wywiad.

Nie przyszło jej to łatwo. Czowała się wystawiona na widok publiczny, lecz zacisnęła zęby.

I nic, żadnego efektu, z wyjątkiem historii kobiet poszukujących dzieci i dzieci poszukujących rodziców.

Sprzedła dom, spłaciła długi. Z koleżanką z pracy wynajęła mieszkanie, nauczyła się odrzucać zaproszenia na drinka, kolację czy do kina. Nie dlatego, że zainteresowani nią mężczyźni nie spełniali jej standardów, czy dlatego, że nie ufała własnym ocenom. Żaden z nich nie był Hanem.

Któregoś wieczoru wracała z pracy, gdy pod domem spostrzegła kobietę wpatrującą się w okna na parterze. Sprawiała wrażenie, że nie zastała osoby, do której dzwoniła.

- Czy mogę pomóc? - zagadnęła ją Lucy. - Kogo pani szuka? - Jeszcze nie skończyła zdania, a już wiedziała.

Pamiętała zdjęcia babci z młodości, doskonale znała swoją twarz. Stojąca przed nią kobieta miała ich wspólne rysy. Niby inne, a jednak w oczywisty sposób te same.

Lucy znieruchomiała, nie mogła wydobyć głosu...

- Byłam w domu - powiedziała matka. - Pani, która teraz tam mieszka, dała mi adres agencji nieruchomości, która przeprowadzała transakcję. Chciałam ich prosić, by wysłali do ciebie list. - Machnęła ręką. - Jedna z pracownic powiedziała mi, gdzie mogę cię znaleźć. Powiedziała, że chciałaś...

Ktoś wszedł do domu, przytrzymał drzwi, a gdy żadna z nich nawet nie drgnęła, wszedł do środka.

- Może niepotrzebnie. Zrozumiem, jeśli nie chcesz mnie widzieć, nie chcesz mnie znać... - Odwróciła się i ruszyła, lecz Lucy przytrzymała ją za ramię. - Nie - wydusiła.

- Proszę. Szukałam cię.

- Szukałaś mnie?

W jej oczach zapaliła się nadzieja. I w tym momencie minione lata odeszły w niebyt.

- Od miesiący. Z pomocą radia, gazet, internetu...

- Mieszkam w Nowej Zelandii. Mój mąż nic o tobie nie wiedział. Kilka miesięcy temu miałam podejrzenie guza w piersi. Bałam się, że umrę i już cię nigdy nie zobaczę. Opowiedziałam wszystko Michaelowi, a on przywiózł mnie tutaj. Chciałam wyciągnąć od matki, gdzie cię umieściła, bym mogła zacząć poszukiwania.

- Gdzie mnie umieściła?

Widziała, że matce każde słowo przychodzi z trudem.

- Zabrała cię ze szpitala. Powiedziała mi, że przygarnęło cię dobre, bogobojne małżeństwo, które nie mogło mieć dzieci. Mieli cię adoptować i wyjechać daleko, bym nigdy cię nie ujrzała. Mówiła mi, że tak będzie najlepiej.

- Łzy popłynęły jej po policzkach. - Wszyscy powtarzali, że tak będzie najlepiej.

- Ale było inaczej. Babcia mnie wychowywała.

- Nie oddała cię? - Z jej piersi wyrwał się jęk rozpacz. Tę rozpacz tłumila w sobie od lat, uzmysłowiła sobie Lucy. - Nie wróciłam do domu. Wyszłam ze szpitala i poszłam w drugą stronę. Nie chciałam z nią rozmawiać, nie chciałam jej widzieć. Nie byłam w stanie jej wybaczyć. Mieszkać z nią w tym samym domu, przebywać w tym samym pokoju...

Wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć Lucy, lecz zatrzymała ją w pół ruchu.

- Gdybym przyjechała choć raz, byłabym z tobą. Zniosłabym wszystko, by być z tobą...

- Przestań. - Teraz Lucy wyciągnęła rękę. Nie dotknęła matki. - Mamo, proszę...

I naraz, choć obie nie wiedziały, jak to się stało, padły sobie w ramiona, płacząc ze szczęścia.

W jej życiu wszystko się nagle zmieniło. Odnalazła mamę, poznała swego fantastycznego ojczyma i szesnastoletnią siostrę przyrodną. Nagle miała rodzinę, o jakiej zawsze marzyła. Otworzyły się jej oczy. Zrozumiała, że to właśnie rodzina jest w życiu najważniejsza, bycie z ludźmi, których się kocha. I trzeba zrobić wszystko, by tego nie stracić.

Miesiąc później zadzwoniła do ONZ.

Sekretarka uprzejmie poinformowała, że szejk Hanif jest nieobecny, ale przekaże mu wiadomość.

- Zechce mu pani powtórzyć, że dzwoniłam? - powiedziała, kryjąc rozczarowanie.

Jeszcze nie zdążyła odłożyć słuchawki, gdy wezwano ją do szefa i ani się spostrzegła, siedziała w samolocie do Paryża.

- Lucy, co robisz wieczorem? - zagadnął jeden z kumpli, gdy zjeżdżali windą po pracy.

- Daj sobie spokój, Jamie. Po tym wyjeździe do Paryża Lucy ma oko na szefa.

- Chyba mierzy wyżej - skontrował ktoś. Winda zatrzymała się, ruszyli do wyjścia.

- Wyżej? Czyli na kogo?

- Kogoś z królewskiego rodu.

Lucy, która do tej pory nie zwracała uwagi na te przekomarzania, wlepiała wzrok w koleżankę.

- O czym ty mówisz?

- Dzwonił do ciebie jakiś gość, powiedział, że jest szejkiem. Kiedy byłaś w Paryżu.

Nogi się pod nią ugięły. Łudziła się, że Han oddzwoni. Gdy okazało się, że tego nie zrobił...

- Nic nie wiedziałam. Kiedy dzwonił?

- Był taki młyn, że nie pamiętam. We wtorek, może w środę. Zostawiałam ci kartkę na biurku.

- Nie było jej dziś rano.

- Lucy, nie bądź taka - wtrącił Jamie. - Wprawdzie nie mam białego rumaka, ale mogę cię porwać bmw coupe...

- Rumak powinien być kary - zareplikowała, naciskając przycisk, by wrócić do biura i odszukać wiadomość.

- Niech ci będzie - przystał. - Czy to może twój sposób na uświadomienie mi, że nie dasz się zaprosić na drinka?

- Nie bredź - rzekła, lecz nikt już jej nie słuchał. Bo wszyscy cisnęli się do szklanych drzwi windy, by popatrzeć na lśniącego przed wejściem czarnego astona martina.

Ujrzała wysiadającego z auta kierowcę. Świetnie skrojone spodnie, kaszmirowy sweter i rozpięta pod szyją koszula. Jednak mimo tego zwyczajnego stroju czuło się bijącą od niego władzę i potęgę.

Ich spojrzenia się napotkały. Wszyscy wysiedli, lecz Lucy stała nieruchomo, wpatrując się w podchodzącego mężczyznę.

- Hanif...

Brakowało jej powietrza. Han przytrzymał ją za ramiona, jakby się bał, że Lucy zaraz upadnie. On zawsze zdążył mnie podtrzymać, przemknęło jej przez myśl.

- Dzwoniłaś - odezwał się.

- Właśnie się dowiedziałam o twoim telefonie - wydukała. - Byłam w Paryżu...

- W Paryżu? - Uśmiechnął się. - Żyjesz pełną piersią.

- To był wyjazd służbowy. Co ty tu robisz? Amirah jest z tobą? Kiedy przyjechałeś?

Wiedziała, że zadaje za dużo pytań, że plecie trzy po trzy, pomijając to najważniejsze. Dlaczego przyjechał?

- Zadzwoiłaś, a ja przyjechałem - odparł, jakby czytał w jej myślach. - Byłbym wcześniej, ale dziś rano musiałem przedstawić moje listy uwierzytelniające.

- Ale to chyba nie znaczy...

- Zakończyłem misję w ONZ. Teraz przejmuję obowiązki ambasadora w Wielkiej Brytanii.

- Tylko mi nie mów, że zatęskniłeś za deszczem.

- Zatęskniłem za tobą. A skoro ty jesteś tutaj, to i ja tu zamieszkać.

Miał nową fryzurę. Gęste, starannie podcięte włosy lśniły w świetle. Mimowolnie sięgnęła do kieszeni i dotknęła rzemyka, którym kiedyś przewiązał jej włosy. Zachowała go...

- Amirah jest z tobą? - wydusiła.

- Tak, z opiekunką. Nie może się doczekać, kiedy cię zobaczy.

- Bardzo mi jej brakowało.

- Tylko Amirah?

Nie, nie tylko Amirah.

- Czy może - popatrzył na mężczyzn stojących wokół nich z rozdziawionymi ustami i przeszedł na arabski - może odnalazłaś się tutaj i już nie masz dla mnie czasu?

- Zawsze będę mieć dla ciebie czas. Uratowałeś mi życie. - Uśmiechnęła się do niego. - W końcu ruszyłam do przodu, dzięki tobie. Znalazłam moją mamę, właściwie to ona mnie znalazła. Jesienią zaczynam nowe studia...

- Bardzo się z tego cieszę - rzekł cicho, a ją nagle olśniło. Jej droga do przodu zaczęła się nie po rozstaniu z Hanem, a w chwili, gdy ujrzała jego dłoń z wyciągniętym nożem, gdy ocalił ją przed niechybną śmiercią.

- Znalazłaś już sobie jakieś lokum?

- Nie. Prawdę mówiąc, jeszcze nie miałam czasu, żeby się rozejrzeć.

- Moja ambasada jest w pobliżu twojej uczelni. Nie musiała pytać, skąd wie.

- Pokoje są przestronne i bardzo komfortowe.

Wstrzymała oddech. Dla Hanifa, wychowanego w innej tradycji, mógł istnieć tylko jeden powód takiej propozycji.

- Przejechałeś szmat drogi tylko po to, by zaproponować mi mieszkanie, Wasza Wysokość?

- Zaczynasz czytać w moich myślach, Lucy. Jest tylko jeden mały problem. Będzie się trzeba dzielić.

- Pokojem?

Ujął jej dłonie, przycisnął je sobie do serca.

- Moim życiem, całym moim światem. Zadzwońska, a ja przyleciałem do ciebie z Nowego Jorku. Ofiaruję ci moje serce, moją przyszłość. I o to samo chcę błagać ciebie. Prosić, byś zgodziła się zostać moją jedyną żoną, jedyną księżną, mamą Amirah. I dzieci, które może nadejdą.

Dotknęła ustami jego rąk, a kiedy podniosła głowę, jej oczy były pełne łez.

- Ty jesteś moim życiem, Hanif. Moją jedyną miłością. Moim księciem i ukochanym mężem. Moje życie należy do ciebie.

EPILOG

- Na pewno nie zmienisz zdania?

Lucy wyprostowała się, starając się nie zwracać uwagi na bolące plecy. Przez całą noc nie mogła zmrużyć oka, dzisiaj też od rana ledwie się trzymała. Termin porodu był tuż-tuż, lecz jej nic nie było w stanie odwieść od udziału w dzisiejszej uroczystości rozdania dyplomów..

- Nie wysiedzisz przez całą kolację - przekonywał Hanif.

- Będziesz musiała wyjść do łazienki.

- Mam miejsce z boku, więc nie będzie problemu - zapewniła. Han nadal by zatroskany. Potarła go po ramieniu.

- Zobacz tylko, czy dobrze założyłam biret, i idź usiąść.

Pocałował ją i poszedł usiąść obok mamy Lucy i reszty rodziny, z dumą czekającej na uroczysty moment.

Wczytywanie nazwisk ciągnęło się w nieskończoność.

- Jej Wysokość księżna Lucy al-Khatib.

Han odetchnął lżej. Jeszcze kilka minut i będą mogli wyjść.

Lucy wpłynęła na schodki, podeszła do pani rektor, również należącej do królewskiego rodu, przyjęła gratulacje i wyciągnęła rękę, by odebrać dyplom.

Han spostrzegł, że twarz Lucy nagle się zmieniła.

Nie czekał, aż popatrzy w jego stronę. Rzucił się do niej, nim jeszcze zdążyła się odwrócić.

Dwie godziny później Lucy, wyczerpana porodem, patrzyła, jak Han odbiera od położnej ich pierwsze maleństwo, najmłodszego członka rodu al-Khatib.

- No i? - zawiesiła głos.

Na mocy milczącego porozumienia nie próbowali dociec, jakiej płci będzie ich dziecko. Jednak teraz głos jej lekko zadrżał; bała się, że Han będzie zawiedziony, jeśli dziecko nie okaże się chłopcem, o którym tak marzył.

- Mamy Dżamala czy Elysę?

Han popatrzył na żonę, ujął jej dłoń i podniósł do ust. Dopiero wtedy położył jej na piersi nowo narodzone maleństwo.

- Mamy dziecko, najdroższa. Piękne, zdrowe dziecko.



RS